

STANISŁAW LEM

POLOWANIE

DWÓCH MŁODYCH LUDZI

Biały dom nad wąwozem wyglądał jak pusty. Słońce nie grzało już, ciężko czerwone wśród obłoków — małych, złotych pożarów stygnących w róż — a niebo aż po widnokrąg naciągało zielenią, bladą, ale o takim odcieniu, że kiedy ucichł wiatr, chwila ta była jakby już gotowa na wieczność. Gdyby ktoś stanął w pokoju przy otwartym oknie, widziałby skały kenionu w ich martwej walce z erozją, odnajdującą cierpliwie milionami burz i zim słabsze, broczące piargiem miejsca, a uparte, granitowe szczyty rzeźbiącą raz romantycznie, raz szyderczo w ruiny baszt i kalekie posągi. Nikt tam jednak nie stał; słońce opuszczało dom, każdy pokój z osobna, po raz ostatni jakby odkrywając sprzęty, które zapalały się nagle, stając w nierealnej łunie, zniemacka przeznaczone jakby dla celów, o jakich nikomu się dotąd nie śniło. Zmierch łagodził ostrość skał, unaoczniał ich podobieństwo do sfinksów i gryfów, bezkształtne za dnia bruzdy zmieniał w oczy, przydawał im wzroku i ta jego niepochwytna, spokojna praca w kamiennej scenerii wydobywała z niej coraz nowe, choć coraz bardziej domyślne tylko efekty, w miarę jak odbierał przedmiotom barwy, wciąż rozrzutniej szafując w głębiach fioletem, a u zenitu zielonością. Całe światło wracało jakby do nieba, a znieruchomiałe skosy obłoków odbierały czarno przekreślonemu słońcu resztkę sił. Dom stał się wtedy na pół biały, widmową, niepewną białością nocnego śniegu, tylko ostatnia kropla słońca długo wtapiała się w widnokrąg. Nie był jeszcze ciemny — jakaś fotokomórka, nie całkiem zdecydowana, czy już czas, włączyła światła czterech wnęk, które nie mogły się zgrać z niebieską powagą wieczoru i natychmiast zostały zgaszone. Owej chwili starczyło jednak, by zobaczyć, że dom nie jest pusty. Jego mieszkaniec leżał na hamaku z głową odrzuconą w tył, włosy zakrywała mu metalowa siateczka, przylegająca do czaszki, ręce miał po dziecinnemu przykurczone do piersi, jakby trzymał w nich coś niewidzialnego a drogocennego, oddychał szybko, a gałki oczne obracały się pod napiętą skórą powiek. Od metalowego okola siatki spływały giętkie kable, łącząc się z aparatem, który stał na trójnożnym stoliku, ciężki, jak wykuty z chropawego srebra. Wirowały tam powoli cztery szprychowe bębny w takt podmrugującego zielonkawo, katodowego motylka, który roziskrzył się, pulsując, a w miarę jak gęstniała ciemność, z seledynowego widemka stawał się źródłem światła, wyraźnym konturem obrysowującego twarz człowieka. Ale on nie wiedział o tym, bo już od dawna był w nocy. Mikroskopijne kryształki, utrwalone w taśmach ferromagnetycznych, słały zwisłymi luźno kabelkami w głąb jego głowy falę za falą impulsów, wypełniających obrazami wszystkie zmysły. Nie istniał dlań ciemny dom ani noc nad wąwozem; jak oko w rybiej głowie siedział w przejrzystej główicy statku, który między gwiazdami szedł ku gwiazdom, a on, wzięty w niebo ze wszystkich naraz stron, patrzył w noc galaktyczną, która nigdy i nigdzie się nie kończy. Statek gnał niemal jak światło, dlatego wiele tysięcy gwiazd zachodziło w obręczkach krwawej poświaty, a ciemne zazwyczaj mgławice wyłaniały się z bezdni ponurym żarzeniem. Pęd statku nie odmieniał nieruchomości sklepienia niebieskiego, ale jego barwy: z dwu mrowisk gwiazdnych to przed dziobem jarzyło się upiorniejącym z godziny na godzinę błękitem, a drugie, za rufą, czerwieniało — te zaś konstelacje, które stały na wprost statku, znikwały po trosze, jakby rozpuszczone w czerni i dwa kręgi oślepego nieba, bezgwiazdnie puste, stanowiły zarówno cel podróży, dostrzegalny już tylko w ultrafiolecie, jak i pozostawiony za wyrzutniami ognia obszar ziemskiego systemu, ze Słońcem, niewidzialnym nawet w podczerwieni.

Człowiek uśmiechał się, bo statek był stary i dlatego pełen szmeru mechanicznych szczerów, które budzą się do życia tylko w potrzebie, gdy wentyle przestają się domykać, kiedy czujniki na tarczach reaktora wykryją promienisty przeciek albo mikroskopijną ucieczkę powietrza. Siedział bez ruchu, zanurzony w swym nad—naturalnie wielkim, jak tron, fotelu, a pod nim i za nim pilne członkonogi przemierzały pokłady, człapały w zimnych tulejach wypróżnionych zbiorników, chrobotwały w galeriach rufy, której całe powietrze żarzyło się niesamowicie wzbudzonym wtórnie promieniowaniem, docierając u kresu do ciemnego, neutrinowego serca stosu, gdzie żadna żywa

istota nie przetrwałaby i sekundy. Rozprowadzane siecią bezdźwięcznych radiosygnarów po najdalszych zakamarkach, tu dociągały coś, tam uszczelniały, i statek pełen był ich sypkiej, rozgałęzionej gonitwy, krętych szlaków, którymi dreptały niestrudzenie ze wzniesionymi do działania czułkami narzędzi.

Człowiek, zanurzony po szyję w pianowym łożu pilotów, opasany jak mumia spiralami amortyzacji, spowity w najcieńszą sieć złotych elektrod, śledzących każdą kroplę krwi w jego ciele, z jedną tylko głową wolną i nagą, z czarnymi oczyma, w których drżał ugwieżdżony mrok, uśmiechał się, bo lot miał trwać jeszcze długo, bo czuł, w bacznie napiętej uwadze, długi, lewiatanowy kształt statku, który w słuchu jego — tylko w nim — rysowała, jakby wydrapując kontury w czarnym szkłe, bieranina elektrycznych stworów. Nie mógł dostrzec go — całego — w żaden inny sposób, bo wokół nie było nic oprócz nieba, to znaczy tej ciemności, nabiegłej zgęstkami infraczerwonego i ultrafioletowego kurzu, tych czeluści bezwiecznych, których chciał. W tym samym czasie inny człowiek leciał — ale już naprawdę — kilka parseków ponad płaszczyzną Galaktyki. Próżnia napadała milczącymi burzami magnetycznymi na pancerny odwłok jego statku, nie był już taki śliski, taki niepokalany jak dawno temu, gdy wyruszał, stojąc na kolumnie spienionego ognia. Metal, najtwardszy i najoporniejszy z możliwych, ułatniał się powoli, wydany na ataki nieskończonych pustek, które, przywierając do głuchych ścian tego tak bardzo ziemskiego, tak realnego przedmiotu,ssały go zewsząd, że parował, warstwa po warstwie, niewidzialnymi chmurkami atomów — ale pancierz był gruby, obliczony z wiedzą o śródgwiezdej sublimacji, o magnetycznych kataraktach, o wszystkich wirach i rafach największego z możliwych, pustego oceanu.

Statek milczał. Był jak martwy. Wielomilowymi gardłami jego rurociągów gnał płynny metal, ale każdy ich skręt, każde zakole wyhodowane zostało w ciepłym wnętrzu ziemskich kalkulatorów, troskliwie wybrane z setek tysięcy wariantów ich niezmożoną matematyką, aby nigdzie, w żadnej ścianie, w żadnym złączu nie rozmrowił się groźny rezonans. W jego komorach siłowych wiły się powęźlone żyły plazmy, tego mięszu gwiazd, napinanego w magnetycznym okuciu, aby, nie tykając lustrzanych gładzi, które jednym liźnięciem obróciłyby w gaz, wypadł z rufy słupem ognistym. Te lustra płomienia, okowy słonecznego żaru, całą moc, do jakiej zdolna jest u progu samounicestwienia materia, ogniskowały w piorunie światła, który, opuściwszy statek, widoczny był jako gwiazda pierwszej wielkości jeszcze z miliarda mil. Wszystkie te maszyny słonecznej inżynierii miały swoją ziemską prehistorię. Długo dojrzywały w owych próbnym lotach i katastrofach, którym asystowało raz pełne podmrugującej aprobaty, raz niespokojnego zdumienia łopotanie oscylografów katodowych, podczas kiedy maszyna cyfrowa, przymuszona do wiernego odgrywania dramatów astronautycznych, ani drgnęła i o tych sekundach pełnych milczącego zgiełku, w których stłoczone były całe wieki kosmodromii, mówiło czuwającemu programiście tylko ciepło jej ścian, grzejące rękę łagodnie jak kaflowy piec. A ponieważ działo się to przez lata, ogniowe trzewia statku pracowały milcząc. Cisza na pokładzie nie różniła się niczym od ciszy galaktycznej. Pancerne okna były głuche, aby nie zajrzała przez nie żadna z rudziejących za rufą ani błękitniejących przed dziobem gwiazd. Statek mknął tak szybko prawie jak światło i tak cicho jak cień, jakby w ogóle się nie poruszał, i tylko cała Galaktyka opuszczała go, opadając w głąb spiralnym koliskiem swych rてciowych, kurzawą przesytych ramion.

Od czujników powłoki, od grubych mosiężnych kopert liczników, od kamer, wślepionych w niewidzialne pożary neutronowe, szły tysiączne włókna srebra i miedzi, splatały się pod kilem, jak pod kręgosłupem, w grube węzły, nabrzmiewające od sygnałów, i w deszczu ich rytmy, fazy, uloty, przepięcia gnały ku przodowi statku. To, co w żaroodpornym wnętrzu rufy było Kolumną Słońca, gwiazdową struną, wibrującą w rezonatorach pól, stawało się w kryształach przekaźników precyzyjnym tańcem atomów, którego figury baletowe rozwijały się w przestrzeni, mniejszej od ziarnka kurzu. Wtopione w pancierz oczy fotokomórek szukały gwiazd wiodących, zakłęsłe ślepie radarowe — meteorów; w metal wręgów, stępek, rozpór i dźwigarów wpasowane, gładkie, ściśliwie kryształy, obracające każde przeciążenie i każdy ucisk w dreszcz elektryczny, w matematyczny jęk,

donosiły nieustannie, jak wiele jeszcze może wytrzymać obły, milowy kadłub — a złote mrówki elektronów nieznuzenie odtańczyły jego kształt. Wewnątrz statku, na wszystkich pokładach, wszechobecny wzrok elektryczny śledził rurociągi, gradzie, pompy, a obrazy ich stawały się pulsowaniem jonowych chmur w półprzewodnikach — tak ze wszystkich na raz stron wieści milczącej mowy zbiegały się ku sterowni. Tutaj, pod podłogą, okrytą sześcioma warstwami izolacji, wpadały w głąb głównej maszyny cyfrowej, ciemnego, sześciennego mózgu, gnając ku swemu przeznaczeniu; obracały się miarowo wiry rtęciowej pamięci, pustym pulsem prądowym zwiastowały swe nieustające pogotowie obwody ochrony przeciwmeteorytowej, decyzje ważyły się przeciw decyzjom, podczas kiedy sąsiednie centra cyfrowe, działając w pewności absolutnego zera, czuwały nad każdym haustem powietrza i każdym uderzeniem serca ludzkiego; w samym zaś środku maszyny czekały programy manewru, naprowadzenia, awaryjne i najwyższych zagrożeń wraz z tymi, które zostały dawno temu uruchomione raz jeden, podczas startu, i miały się ocknąć do działania po wielu latach w odwrotnej kolejności lądowania; a wszystkie razem, czuwające pewnie w błonkach monomolekularnych, można było roztrzeć między dwoma palcami jak pyłek owadziego skrzydła; los człowieka i statku tu się właśnie rozstrzygał, pomiędzy atomami.

Ten czarny mózg był zimny i głuchy jak kryształowa skała, ale najmniejsza niejasność, potknięcie wchodzących sygnałów wyzwalało huragan pytań, ciskanych w najdalsze zakątki statku, skąd długimi seriami strzelały zwrotne serie odpowiedzi. Informacje zagęszczały się, krystalizowały, nabrzmiewały treścią i znaczeniem, a kiedy przekraczały wreszcie poziom krytyczny, automat ośmielał się wdrzeć w głąb czarnej sterowni i w pustce, pośród seledynowych tarcz sekundomierzy, wyskakiwały, jak znikąd, skwapliwie drukowane w powietrzu czerwonymi lub żółtymi literami ważne doniesienia: o prześcignięciu połowy szybkości światła, o kolejnym naprowadzeniu statku na cel... Ale człowiek, spoczywający w łóżu pilotów, nie czytał ich. Nic o nich teraz nie wiedział. Kolorowa mozaika liter, które gorliwie objawiały mu rewelacje kosmicznego lotu, daremnie rozjaśniała barwnym łyskaniem jego spokojną twarz. Nie spieszyło mu się do tych codziennych wieści, miał przed sobą na lata mierzony czas. Wargi drgały mu w powolnym, spokojnym oddechu, jakby zamierzał uśmiechnąć się, a tylko odwlekał tę chwilę. Głowę miał wygodnie opartą o poduszkowy uchwyt, tylko na skraj czoła zachodził brzeg cienkiej siateczki, wciśniętej we włosy; wiotki kabelek łączył ją z płaskim aparatem u jego boku, jakby wyrżniętym z jednej bryły chropawego srebra. Nie wiedział w owej chwili, że leci do gwiazd — nie pamiętał o tym. Siedział — w wytartych, płóciennych portkach, które na kolanach ubielił kamienny pył — u krawędzi wielkiego obrywu i czując na skroni łaskotanie włosów, rozburzonych przez wiatr, patrzył w wielki kenion pod upalnym niebem, na dalekie, miniaturowe dęby, na chłodną otchłań, wypełnioną powietrzem niebieskawym i ruchliwym jak woda, na zamknięty niby w szkłe rysunek skalnych potworów, sięgających horyzontu — tylko bruzdy urwisk rozmywały się w największej dali, gdzie piętrowe głązy dorównywały ziarenkom piasku. Czuł natarczywy ucisk słońca na ciemieniu, trzepot, w jaki wiatr wprawiał jego koszulę z grubego płótna, okutym trzewikiem od niechcienia przesuwając tuż nad tym miejscem skały, skąd, gwałtownie przechylona, martwym skokiem leciała na kilometry w dół. Zakręt wielkiego kenionu naprzeciw miejsca, gdzie się usadowił, pełen był cienia, nad którym górowały najwyższe szczyty, podobne do legendarnych gryfów czy wykopaliskowych bóstw. I przykuty tak bardzo do ziemi, patrząc w ogromne pęknięcie jej starej skorupy, uśmiechnął się czując, jak mocno krąży w nim krew.

POLOWANIE

Wyszedł z kapitanatu zły jak wszyscy diabli. Akurat jemu musiało się to przytrafić! Armator nie dostarczył ładunku — po prostu nie dostarczył — i kwita. W kapitanacie nic nie wiedzieli. Owszem, była depesza: „Opóźnienie 72 godziny — karę umowną wpłacam na wasze konto — Enstrand”. Ani słowa więcej. W biurze radcy handlowego też nic nie wskórał. W porcie robiło się ciasno i kapitanatowi nie wystarczała kara umowna. Postojowe postojowym, a najlepiej byłoby, gdyby nawigator zechciał wystartować i wejść na okreśną. Silniki można zastopować, żadnego rozchodu paliwa, poczeka pan te trzy dni i wróci. Cóż to panu szkodzi? Trzy dni kręcić się dokoła Księżyca tylko dlatego, że armator nawalił! Pirx po prostu nie wiedział, jak zareplikować, ale przypomniał sobie o umowie zbiorowej. No i kiedy wyjechał z normami przebywania w przestrzeni, ustalonymi przez związek zawodowy, tamci zaczęli się wycofywać. Rzeczywiście, tonie Rok Spokojnego Słońca. Dawki promieniste nie są obojętne. Więc trzeba by manewrować, chować się przed Słońcem za Księżyc, wyrabiać tę ciuciubabkę ciągiem; kto zapłaci za to? — wiadomo, że armator nie, może kapitanat? Czy panowie zdają sobie sprawę z tego, co kosztuje dziesięć minut pełnego ciągu, przy reaktorze o siedemdziesięciu milionach kilowatów?! W końcu dostał zezwolenie na postój, ale właśnie tylko na siedemdziesiąt dwie godziny plus cztery godziny na przeładowanie tej cholerniej drobnicy — ani minuty więcej! Można było pomyśleć, że robią mu łaskę. Jakby to była jego wina. A przyleciał z dokładnością do minuty, chociaż nie szedł prosto z Marsa — a że armator...

Z tego wszystkiego zapomniał prawie, gdzie jest i tak pociśnął klamkę drzwi wychodząc, że podskoczył pod sufit. Zrobiło mu się głupio, rozejrzał się, ale nikogo nie było. W ogóle cała Luna wydawała się pusta. Prawda, że rozpoczęto wielkie roboty paręset kilometrów na północ, między Hypatią i Toricellim. Inżynierowie i technicy, od których miesiąc temu aż się tu roiło, wyjechali już na budowę. Wielki projekt ONZ, Luna II, przyciągał coraz więcej ludzi z Ziemi. — Przynajmniej tym razem nie będzie kłopotów z hotelem — pomyślał jadąc ruchomymi schodami na ostatnią kondygnację podziemnego miasta. Światłówki jarzyły się zimnym, dziennym blaskiem. Co druga była wygaszona. Oszczędzają! Pchnąwszy szklane drzwi, wszedł do niewielkiego hallu. Pokoje były, a jakże! Ile kto chciał. Zostawił swoją małą walizkę, właściwie neseser, w portierni, i zastanowił się: Czy Tyndall dopilnuje, żeby mechanicy przeszlifowali centralną dyszę? Bo jeszcze na Marsie zachowywała się jak średniowieczna kartaczownica! Właściwie należałoby samemu dopatrzeć, pańskie oko, wiadomo... Nie chciało mu się jednak wracać windami dwanaście pięter w górę, tym bardziej że teraz i tak wszyscy się chyba porozłazili. Siedzą pewno w domu towarowym lotniska i przesłuchują ostatnie nagrania. Szedł, nie wiedząc właściwie — dokąd; restauracja hotelowa była pusta, jakby nieczynna — ale za bufetem siedziała jednak ruda dziewczyna i czytała książkę. A może zasnęła nad nią?

Bo papieros zamienił się jej w długi wałeczek popiołu na marmurowym blacie... Pirx usiadł, przestawił zegarek na lokalny czas i raptem zrobiło się późno: dziesiąta wieczór. A na pokładzie dopiero co, przed paru minutami, było południe. Ten wieczny kołowrót z nagłymi przeskokami czasu był tak samo męczący jak na początku, kiedy dopiero uczył się latać. Jadł obiad, zmieniony w kolację, popijając go wodą mineralną, która była chyba cieplejsza jednak od zupy. Kelner, smutny i senny jak prawdziwy lunatyk, pomylił się przy rachunku na własną niekorzyść, co stanowiło już niepokojący objaw. Pirx poradził mu, żeby spędził urlop na Ziemi, wyszedł cicho, by nie budzić śpiącej bufetowej, wziął od portiera klucz i pojechał do swego pokoju. Nie popatrzał od razu na blaszkę i dziwnie mu się zrobiło, kiedy zobaczył numer: 173. W tym samym pokoju mieszkał już kiedyś, gdy po raz pierwszy leciał na „tamtą stronę”. Ale kiedy otworzył drzwi, przekonał się, że albo to inny pokój, albo gruntownie go przebudowali. Nie, musiał się jednak pomylić, ten był większy; przekreślił wszystkie kontakty, bo dość miał ciemności, zajrzał do szafy, wyciągnął szufladę małego biurka, ale nie rozpakował nawet walizki, tyle że cisnął piżamę na

łóżko, a szczoteczkę i tubę z pastą położył na umywalce. Umył ręce — woda była zawsze tak piekielnie zimna, aż dziw, że nie zamarzała. Odkręcił kurek ciepłej — pociurkało kilka kropel. Podeszedł do telefonu, żeby wezwać recepcję, ale i tego mu się odechciało. Inna rzecz, że skandal — już się Księżyc zagospodarowało, a nie można się doprosić, żeby w pokoju hotelowym zawsze była ciepła woda! Włączył radio. Szedł właśnie dziennik wieczorny — wiadomości księżycowe. Nie słuchał prawie rozważając, czy wysłać depezę do armatora. Rozumie się — na jego koszt. Ale to przecież i tak nic nie da. To nie romantyczne czasy kosmonautyki! Dawno już minęły, teraz człowiek jest po prostu furmanem, zależnym od tych, co ładują mu towary na wóz! Fracht, ubezpieczenie, postojowe... Radio bormotało niewyraźnie. Zaraz — co tam?... Przechylił się przez łóżko i poruszył gałką aparatu.

„...prawdopodobnie ostatek roju Leonidów” — wypełnił pokój miękki baryton spikera. — „Tylko jeden budynek mieszkalny został uszkodzony bezpośrednim trafieniem i utracił hermetyczność. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieszkańcy jego znajdowali się w pracy. Pozostałe meteoryty nie wyrządziły większych szkód z wyjątkiem tego, który przebił tarczę osłaniającą magazynów. Jak donosi nasz korespondent, sześć automatów uniwersalnych, przeznaczonych do prac na terenie budowy, uległo zupełnemu zniszczeniu. Uszkodzona została również linia wysokiego napięcia oraz przerwane połączenie telefoniczne, które jednak w ciągu trzech godzin przywrócono. Obecnie powtórzymy najważniejsze wiadomości. Dziś rano nastąpiło otwarcie kongresu panafrykańskiego”...

Wyłączył radio i usiadł. Meteoryty? Jakiś rój? No tak, pora Leonidów, ale przecież prognozyki — ci meteorologowie zawsze naknocą, zupełnie jak na Ziemi synoptycy... Budowa — to chyba ta na północy. Jednak co atmosfera, to atmosfera: jej brak porządnie daje się tu we znaki. Sześć automatów... proszę. Dobrze, że choć ludzie cali. Głupia historia jednak — przebiło tarczę! Tak, ten projektant, to dopiero...

Był zmęczony. Czas mu się już zupełnie pokiełbał. Między Marsem a Ziemią musieli połączyć wtorek. Po poniedziałku zrobiła się od razu środa; w efekcie zabrakło także jednej nocy. — A zatem należy się wyspać i to na zapas — pomyślał, wstał i odruchowo ruszył w stronę malutkiej łazienki, ale na wspomnienie lodowatej wody aż się wzdrzgnął, zawrócił na pięcie i po minucie leżał już w łóżku. Ani się umywał do koi okrętowej. Ręka sama poszukała pasów do przypięcia kołdry, uśmiechnął się lekko, gdy ich nie znalazł, bo przecież był w hotelu, gdzie nie groził nagły zanik grawitacji... To była jego ostatnia myśl. Kiedy otworzył oczy, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Panowały egipskie ciemności. — Tyndall! — chciał zawołać i nagle, zupełnie nie wiedząc czemu, przypomniał sobie, jak tamten wypadł raz przestraszony z kajuty, w samych spodniach piżamowych, i rozpaczliwie wołał do wachtowego: „Ty! Błagam cię! Powiedz, jak ja się nazywam?” Biedak urznął się, bo uroiwszy sobie jakąś żołądkową historię, wypił całą flaszkę rumu. Ale tą okrężną drogą myśl Pirxa wróciła zaraz do rzeczywistości. Wstał, zaświecił lampę, wszedł pod tusz, przypomniał sobie o wodzie, puścił więc z ostrożności najpierw mały strumyk — była letnia, westchnął więc, bo tęsknił za gorącą kąpielą, lecz po chwili, w strumieniach bijących po twarzy i torsie, zaczął nawet podśpiewywać.

Wkładał właśnie czystą koszulę, gdy głośnik — nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle jest w pokoju, odezwał się basem:

„Uwaga! uwaga! Podajemy ważne zawiadomienie. Wszyscy mężczyźni, zdolni do noszenia broni, proszeni są o niezwłoczne stawienie się w kapitanacie portu, pokój 318, u komandora-inżyniera Achaniana. Powtarzam. Uwaga, uwaga...” Pirx tak się zdziwił, że przez chwilę stał nieruchomo, w skarpetkach i jednej koszuli. Co to? Może prima aprilis? Zdolni do noszenia broni? Może to jeszcze sen? Ale wymachując rękami, aby prędzej naciągnąć koszulę, palnął ręką o brzeg stołu, aż mu się ciepłej zrobiło. Nie, to nie sen. Więc co? Inwazja? Marsjanie zdobywają Księżyc? Co za bzdura! W każdym razie trzeba iść...

A coś szeptało mu, kiedy wskakiwał w spodnie: „Tak, to się musiało stać, bo właśnie tu jesteś. Masz już takie szczęście, że przyciągasz przygody”... Kiedy wychodził z pokoju, zegar wskazywał

ósmą. Chciał spytać pierwszego napotkanego, co się właściwie stało, ale korytarz był pusty, ruchome schody też, jakby już było po generalnej mobilizacji, jakby wszyscy już gdzieś, diabli wiedzą gdzie, kotłowali się na pierwszej linii... Biegł w górę schodów, chociaż i tak sunęły szparko, spieszył się, jakby naprawdę mógł stracić szansę bohaterских czynów. Na górze zobaczył jasno oświetlony, szklany kiosk z gazetami, podbiegł do okienka, aby wreszcie spytać, ale budka była pusta. Gazety sprzedawał automat. Kupił więc paczkę papierosów i dziennik, który przejrzał nie zwalniane kroku, nic w nim jednak nie było poza opisem meteorytowej katastrofy. Może to to? Ale z tą bronią? Nie, nic! Długim korytarzem doszedł do kapitanatu. Nareszcie zobaczył pierwszych ludzi. Ktoś wchodził właśnie do pokoju z numerem 318, ktoś inny zbliżał się tam, idąc z przeciwnego końca korytarza.

— Nic się już nie dowiem, nie zdążę — pomyślał, obciągnął na sobie marynarkę i wszedł. Był to niewielki pokój, z trzema oknami, za którymi płonął sztuczny krajobraz księżycowy, o nieprzyjemnej barwie rozpalonej rtęci. W węższej części trapezowatego pokoju stały dwa biurka, cała zaś przestrzeń przed nimi zastawiona była krzesłami, zniesionymi chyba naprędce, bo każde niemal było inne. Znajdowało się tu jakichś czternaście, piętnaście osób, przeważnie mężczyzn w średnim wieku oraz kilku chłopców z naszywkami kadetów żeglugi kosmicznej. Osobno siedział jakiś : starszy komandor — reszta krzeseł stała pusta. Pirx usiadł obok jednego z kadetów który mu zaraz opowiedział, jak przylecieli w sześciu poprzedniego dnia dla odbycia praktyki na „tej stronie”, ale do ich dyspozycji był tylko mały aparat, tak zwana pchła, więc zabrał ledwo trzech, reszta musiała czekać na swoją kolej, aż tu nagle taka historia. Czy pan nawigator nie wie...? Ale pan nawigator sam nic nie wiedział. Po minach siedzących można się było zorientować, że i oni są zaskoczeni niezwykłym komunikatem — wszyscy bodaj przyszli z hotelu. Kadet, przypomniawszy sobie, że należy się przedstawić, wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych, omal nie przewracając krzesła. Pirx chwycił je za oparcie, wtedy drzwi otworzyły się i wszedł niewysoki, czarnowłosy mężczyzna o z lekka szpakowatych skroniach; miał wygolone, ale sine od zarostu policzki, nastrzępione brwi i małe, przenikliwe oczy; nic nie mówiąc przeszedł między krzesłami, za biurkiem spuścił z rolki podsufitowej mapę „tej strony” w skali 1 : 1 000 000 i potarłszy grzbietem ręki silny, mięsisty nos, rzekł bez żadnych wstępów:

— Proszę panów, jestem Achanian, delegowany chwilowo przez kierownictwo połączone Luny I i Luny II do sprawy unieszkodliwienia Setaura.

Wśród siedzących nastąpiło lekkie poruszenie, ale Pirx dalej nic nie rozumiał — nie wiedział nawet, co to jest Setaur.

— Ci z panów, którzy słuchali radia, wiedzą, że tutaj — pokazał linijką okolice Hypatii i Aifraganusa — wypadł wczoraj rój meteorów. Mniejsza o skutki upadku innych, ale jeden, bodaj że największy, strzaskał ochronną tarczę magazynów B 7 i R 7, przy czym w tym ostatnim znajdowała się partia Setaurów, dostarczonych ledwo cztery dni temu z Ziemi. W komunikatach podano, że wszystkie uległy zniszczeniu. Otóż to nie jest, proszę panów, prawdą.

Kadet, siedzący obok Pirxa, słuchał z czerwonymi uszami, nawet usta otworzył, jakby się bał, że uрони jakieś słowo; Achanian zaś mówił dalej:

— Pięć robotów zdruzgotał walący się strop, ale szósty ocalał. A właściwie — uległ uszkodzeniu. Sądźmy tak na tej podstawie, że wydostał się spod ruin magazynu i zaczął się od tej chwili zachowywać, jak... jak...

Achanian nie znalazł właściwego słowa, więc nie dokończywszy ciągnął:

— Magazyny znajdują się przy boczniccy wąskotorówki, o pięć mil od prowizorycznego lądowiska. Natychmiast po katastrofie rozpoczęto akcję ratunkową i w pierwszej kolejności sprawdzano stany załogi, by wykryć, czy nikt nie został pogrzebany pod zburzonymi budynkami. Akcja ta trwała około godziny, ponieważ zaś okazało się tymczasem, że od wstrząsu straciły pełną hermetyczność budynki centralnego sterowania robotów, przedłużyła się do północy. Około pierwszej wyjaśniono, że awaria sieci, zasilającej cały teren budowy, jak również przerwanie łączności telefonicznej, nie zostały spowodowane przez meteory, lecz kable uległy przecięciu... promieniem

lasera.

Pirx mrugnął. Miał nieodparte wrażenie, że uczestniczy w jakimś przedstawieniu, w maskaradzie — bo takie rzeczy nie mogły się zdarzać. Laser! Doprawdy! Może przywiózł go marsjański szpieg? Ale komandor-inżynier nie wyglądał na człowieka, który ściąga rankiem gości hotelowych, aby płać im głupie kawały.

— Linie telefoniczną naprawiono w pierwszej kolejności — mówił Achanian — a w tym samym czasie mały transporter brygady awaryjnej, który dotarł do miejsca, gdzie kable uległy przerwaniu, utracił łączność radiotelegraficzną z kierownictwem Luny; po trzeciej nad ranem okazało się, iż transporter ów został zaatakowany laserem i pod wpływem kilku trafień stanął w płomieniach. Kierowca i jego pomocnik zginęli, a dwaj ludzie obsługi, którzy szczęśliwie byli w skafandrach, szykowali się bowiem do wyjścia dla naprawy linii, zdążyli wyskoczyć i ukryli się na pustyni, to jest na Marę Tranquilitatis — mniej więcej tu... — Achanian pokazał linijką punkt Morza Spokoju, oddalony o jakieś czterysta kilometrów od niewielkiego krateru Arago. — Żaden z nich, o ile wiem, nie widział napastnika. Po prostu w pewnej chwili poczuli bardzo silny udar termiczny i transporter zapalił się. Wskoczyli, zanim wybuchły zbiorniki ze zgęszczonym gazem; uratował ich brak atmosfery, ponieważ eksplodowała tylko ta część paliwa, która mogła się wewnątrz transportera połączyć z tlenem. Jeden z tych ludzi zginął w nie ustalonych dotąd okolicznościach, a drugi zdołał powrócić na teren budowy po przebyciu około stu czterdziestu kilometrów, że zaś biegł w skafandrze, zużył cały swój zapas powietrza i dostał anoksji — jednakże, na szczęście, dostrzeżono go i obecnie przebywa w szpitalu. Nasze wiadomości o tym, co zaszło, opierają się tylko na jego relacji, więc będą wymagały jeszcze sprawdzenia.

Panowała teraz martwa cisza. Pirxowi też świtało już, co to wszystko znaczy, ale nie wierzył jeszcze, nie chciał jeszcze wierzyć...

— Zapewne domyślicie się, panowie — ciągnął równym głosem ciemnowłosego mężczyzna, odcinający się czarną jak węgiel sylwetką od tła palających rtęciowo pejzaży Księżyca — że tym, kto przeciął kable telefoniczne i linię wysokiego napięcia, a także zaatakował transporter, był ocalały Setaur. Jest to jednostka jeszcze mało znana, bo wprowadzona do seryjnej produkcji ledwo w ubiegłym miesiącu. Miał tu przyjść ze mną inżynier Klamer, jeden z projektantów Setaura, aby wyjaśnić panom dokładnie zarówno możliwości tego modelu, jak i środki, których należy użyć obecnie celem jego unieszkodliwienia bądź zniszczenia... — Kadet, siedzący obok Pirxa, cicho jęknął. Był to jęk najwyższego zachwytu, nawet nie próbującego udawać zgrozy. Młodzieniec nie zauważył strofującego wzroku nawigatora. Nikt zresztą nie dostrzegał niczego i nie słyszał nic poza głosem komandora-inżyniera.

— Nie jestem inżynierem i dlatego nie mógłbym panom powiedzieć wiele o Setaurze. Ale wśród obecnych powinien znajdować się doktor McCork. Czy jest obecny?

Wstał szczupły mężczyzna w okularach: — Jestem. Nie brałem udziału w projektowaniu Setaurów, znam tylko nasz angielski model, zbliżony do amerykańskiego, ale nie identyczny. Niemniej różnice są niezbyt wielkie. Mogę więc służyć...

— Doskonale. Doktorze, poproszę pana do mnie. Przedstawię jeszcze tylko sytuację bieżącą: ten Setaur znajduje się gdzieś tutaj — Achanian obwiodł końcem linijki brzeg Morza Spokoju. — To znaczy znajduje się w odległości trzydziestu do osiemdziesięciu kilometrów od terenu budowy. Przeznaczony był, jak w ogóle wszystkie Setaury, do prac górniczych w bardzo ciężkich warunkach, w wysokiej temperaturze, przy znacznej możliwości obwałów, dlatego też modele te posiadają masywną budowę i gruby pancerz... Ale o tym powie panom dokładniej doktor McCork. Co się tyczy środków, jakimi dysponujemy, aby go unieszkodliwić — to kierownictwa wszystkich baz księżycowych dały nam przede wszystkim pewną ilość materiałów wybuchowych, dynamitu i oksylikwitów oraz lasery ręczne bezpośredniego rażenia i górnicze — przy czym ani te materiały wybuchowe, ani lasery nie mają, rozumie się, charakteru środków bojowych. Dla poruszania się grupy operujące w celu zniszczenia Setaura będą miały transportery małego i średniego zasięgu, w czym dwa posiadające lekki pancerz przeciw-meteorowy. Tylko taki pancerz może wytrzymać

razenie laserem z odległości około kilometra. Co prawda, dane te dotyczą Ziemi, gdzie pochłaniająca energię działość atmosfery jest bardzo istotne. Tutaj jej nie mamy, więc owe transportery będą niewiele tylko mniej narażone od innych. Dostaniemy też znaczną ilość skafandrów, tlenu i to, obawiam się, będzie wszystko. Około południa z sektora radzieckiego, przyleci „pchła” z trójosobową załogą; może ona wziąć ewentualnie dla krótkiego lotu czterech ludzi, aby dostarczyć ich w głąb obszaru, w którym lokalizowany jest Setaur. Na razie na tym kończę. Dam teraz panom arkusz papieru, na którym proszę wyraźnie wypisać nazwiska oraz specjalności zawodowe. Tymczasem może doktor McCork zechce powiedzieć kilka słów o Setaurze. Najważniejsze jest, jak sądzę, przedstawienie jego pięty achillesowej...

McCork stał już obok Achaniana. Był jeszcze bardziej chudy, niż się przedtem wydało Pirxowi; miał odstające uszy, z lekka trójkątną czaszkę, niemal niewidoczne brwi, czuprynę nieokreślonego koloru i z tym wszystkim wydawał się dziwnie sympatyczny.

Nim zaczął mówić, zdjął okulary w stalowej oprawie, jakby mu przeszkadzały, i położył je na biurku przed sobą.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że dopuszczaliśmy możliwość takiego wypadku, jaki się tu wydarzył. Ale oprócz matematyki cybernetyk musi mieć w głowie jeszcze jakąś szczyptę intuicji. Właśnie przez to nie zdecydowaliśmy się dotąd oddać naszego modelu do produkcji seryjnej. Testy laboratoryjne wykazały doskonałą sprawność Mefista — tak się nazywa nasz model. Setaur ma się od niego różnić lepszym zrównoważeniem hamowania i pobudzania. Tak przynajmniej sądziłem dotąd w oparciu o literaturę — teraz nie jestem już tego taki pewny. Nazwa zatracą o mitologię, ale jest tylko skrótem, pochodzi od słów Samoprogramujący się Elektronowy Trójkowy Automat Racemiczny, ponieważ do konstrukcji jego mózgu używa się zarówno prawo- jak i lewoskrętnych monopolimerów pseudokrystalicznych. To chyba w tej chwili nie jest ważne. Jest to automat zaopatrzony w laser do prac górniczych, laser fioletowy, zaś energii do wysyłania impulsów dostarcza mu mikrostos, pracujący na zasadzie zimnej reakcji łańcuchowej, dzięki czemu Setaur, o ile pamiętam, może w impulsach rozwijać dzielność czterdziestu pięciu tysięcy kilowatów.

— Jak długo? — spytał ktoś.

— Z naszego punktu widzenia — przez wieczność — odparł natychmiast chudy doktor. — W każdym razie przez wiele lat. Co się właściwie mogło stać z tym Setaurem? Mówiąc po prostu myślę, że dostał po głowie. Cios musiał być nadzwyczaj silny, ale w końcu nawet tutaj walący się budynek może uszkodzić chromoniklową czaszkę. Co się więc stało? Podobnych doświadczeń nigdyśmy nie przeprowadzali, kosztowałyby zbyt drogo — McCork uśmiechnął się niespodziewanie, ukazując małe, równe zęby — ale wiadomo ogólnie, że wyraźnie zlokalizowane uszkodzenie małego, to jest względnie prostego mózgu czy zwykłej maszyny cyfrowej powoduje kompletny rozpad funkcji. Natomiast im bardziej zbliżamy się w naśladowaniu procesów do mózgu ludzkiego, w tym większym stopniu taki złożony mózg staje się zdolny funkcjonować, pomimo tego, że częściowo uległ uszkodzeniu. Mózg zwierzęcy, na przykład kota, posiada pewne ośrodki, których drażnienie wywołuje reakcję ataku, przedstawiającego się jako wybuch agresywnej wściekłości. Mózg Setaura jest zbudowany inaczej, ale posiada pewien generalny napad, motor aktywności, która może być w rozmaity sposób kierowana i kanalizowana. Otóż nastąpiło jakieś krótkie zwarcie tego centrum aktywności z uruchomionym programem destrukcji. Mówię naturalnie w przeraźliwym uproszczeniu.

— Ale skąd ta destrukcja? — spytał ten sam głos co przed chwilą.

— Bo to automat przeznaczony do prac górniczych — wyjaśnił doktor McCork. — „Zadaniem” jego miało być przebijanie sztolni, chodników, wiercenie skały, kruszenie szczególnie twardych minerałów, najogólniej mówiąc — niszczenie materialnej spoiwości, oczywiście nie wszędzie i nie wszystkiego, ale w rezultacie urazu doszło do takiej generalizacji. Moja hipoteza może być zresztą zupełnie fałszywa. Ta strona, czysto teoretyczna, będzie dla nas istotna później, kiedy się z niego zrobi już dywanik. Na razie najważniejsze jest, co Setaur potrafi. Może poruszać się z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, właściwie w każdym terenie. Nie ma

żadnych punktów smarowniczych, wszystkie powierzchnie stawowo—cierne pracują na teflonie. Ma zawieszona magnetyczna, panczerza jego nie przebije żaden pocisk rewolwerowy czy karabinowy, nie robiono takich prób, ale sędzę, że dopiero chyba działło przeciwpancerne... A takich nie mamy, prawda?

Achanian pokręcił przecząco głową. Wziął listę, która do niego wróciła, i czytał robiąc koło nazwisk drobne znaczki.

— Oczywiście, wybuch porządnego ładunku wybuchowego rozerwie go — ciągnął McCork spokojnie, jakby mówił o najzwyczajszej w świecie rzeczy. — Ale najpierw trzeba ten ładunek do niego zbliżyć, a obawiam się, że to nie będzie łatwe.

— Gdzie on właściwie ma ten laser? W głowie? — spytano z audytorium.

— On nie ma głowy, tylko rodzaj wybruszenia, wypukłości pomiędzy ramionami. Miało to zwiększyć jego odporność na zasypanie. Setaur liczy sobie dwieście dwadzieścia centymetrów wzrostu, więc razi z wysokości jakichś dwu metrów; wylot lasera osłonięty jest przesuwaną klapą; przy nieruchomym torsie może razić w kącie szerokim na trzydzieści stopni, a większe pole rażenia powstaje dzięki obrotom całego torsu. Laser ma moc szczytową czterdzieści pięć tysięcy kilowatów; każdy fachowiec zorientuje się, że to jest moc bardzo wielka, przebija łatwo kilkucentymetrową stalową blachę...

— W jakim zasięgu?

— To jest laser fioletowy, więc o bardzo małym kącie rozchodzenia się świetlnego pęku... Dlatego zasięg będzie praktycznie ograniczony polem widzenia; ponieważ horyzont jest tu odległy na równinie o dwa kilometry, a zatem co najmniej taki będzie zasięg rażenia.

— Dostaniemy specjalne lasery górnicze o sześciokrotnie większej mocy — wtrącił Achanian.

— Ale to jest tylko to, co Amerykanie nazywają overkill — odparł McCork, uśmiechając się. — Bo ta zwiększona moc nie da w pojedynku z laserem Setaura żadnej przewagi...

Ktoś spytał, czy nie dałoby się zniszczyć automatu z pokładu jakiegoś statku kosmicznego. McCork uznał się niekompetentnym, Achanian zaś, spojrzawszy na listę obecnych, rzekł:

— Jest tu obecny nawigator pierwszej klasy Pirx... Może pan zechce wyjaśnić tę sprawę?

Pirx wstał.

— Teoretycznie biorąc, statek średniego tonażu, jak mój Cuivier, więc o szesnastu tysiącach ton masy spoczynkowej, mógłby zapewne zniszczyć takiego Setaura, gdyby go dostał w swój odrzut. Temperatura gazów wylotowych przekracza sześć tysięcy stopni w odległości dziewięciuset metrów, więc to by chyba wystarczyło...?

McCork skinął głową.

— Ale to czysta spekulacja — podjął Pirx. — Statek trzeba by jakoś naprowadzić, a tak mały cel, jaki przedstawia Setaur, nie większy przecież od człowieka, zawsze się zdąży usunąć, o ile nie jest unieruchomiony, ponieważ boczna szybkość statku, manewrującego przy powierzchni planety, w jej polu ciężenia, jest bardzo mała i nie może być nawet mowy o nagłych manewrach pościgowych. Pozostawałaby więc tylko ewentualność użycia małych jednostek, powiedzmy: własnej flotyli Księżyca. Tylko że odrzut jest tu słaby i o niezbyt wysokiej temperaturze, więc chyba gdyby użyć takiego stateczku jako bombowca... Lecz dla precyzyjnego bombardowania trzeba specjalnych przyrządów, celowników, których Luna nie posiada. Nie widzę takiej możliwości. Owszem, trzeba, nawet należy użyć takich małych maszyn, ale tylko w celach rozpoznania, to jest zlokalizowania tego automatu.

Chciał już usiąść, kiedy nagle przyszła mu nowa myśl.

— A, prawda! — powiedział. — Olstra skokowe. Tych można by użyć. To znaczy — mogą ich użyć tylko ludzie, umiejący się nimi posługiwać.

— To są te małe rakiety indywidualne, które się przymocowuje do pleców? — spytał McCork.

— Tak. Można przy ich pomocy wykonywać skoki albo nawet szybować nieruchomo; zależnie od modelu i typu uzyskuje się od jednej do kilku minut lotu i od pięćdziesięciu do czterystu metrów wysokości...

Achanian wstał.

— To chyba ważne. Kto z obecnych przeszedł trening w używaniu tych aparatów?

Podniosły się dwie ręce. Potem jeszcze jedna.

— Tylko trzech? — powiedział Achanian. — A, i pan? — dodał widząc, że Pirx, zorientowawszy się, teraz dopiero podniósł rękę. — A więc czterech. No, raczej mało... Poszukamy jeszcze wśród obsługi lotniska. Panowie! Chodzi, rzecz jasna, o akcję dobrowolną. Właściwie powinienem był od tego nawet zacząć. Kto z panów zechce wziąć udział w operacjach?

Zrobił się mały rumor, bo wszyscy obecni zaczęli wstawać.

— Dziękuję w imieniu kierownictwa — powiedział Achanian. — To dobrze... A więc mamy siedemnastu ochotników. Będziemy mieli wsparcie trzech jednostek f loty li księżycowej, ponadto dysponujemy dziesięcioma kierowcami i radiowcami do obsługi transporterów. Proszę obecnych o pozostanie na miejscu, a panów — zwrócił się do McCórka i Pirxa — proszę ze mną, do kierownictwa...

* * *

Okolo czwartej po południu Pirx siedział w wieżycze wielkiego transportera gąsienicowego, podrzucany jego gwałtownymi ruchami, mając na sobie pełny skafander, na kolanach gotowy do włożenia z pierwszym alarmem hełm, a skosem przez piersi przewieszony ciężki laser, którego kolba tłukła go niemiłosiernie; w lewej ręce trzymał mikrofon, a prawą obracał peryskopem, obserwując rozciągnięte w długi łańcuch inne transportery, które, niczym łodzie, kołysały się na piarzystych rozłogach Morza Spokoju. Pustynne to „morze” pałało blaskiem słonecznymi puste od jednego czarnego widnokregu po drugi; Pirx przyjmował i przekazywał meldunki, rozmawiał z Luną I, z dowódcami innych maszyn, z pilotami stateczków rozpoznawczych, których mikroskopijne płomyki odrzutowe kiedy niekiedy pojawiały się wśród gwiazd czarnego nieba, a przy tym wszystkim nie mógł się chwilami oprzeć wrażeniu, że jest to rodzaj bardzo zawilego i niemądrego snu.

Wypadki toczyły się coraz gwałtowniej. Nie tylko jemu wydało się, że kierownictwo budowy uległo czemuś w rodzaju paniki, cóż bowiem w końcu mógł zdziałać jeden automat—półgłówek, nawet uzbrojony w miotacz światła? Więc gdy na drugiej naradzie „najwyższego szczebla”, w samo południe, zaczęto mówić o zwróceniu się do ONZ, a przynajmniej do Rady Bezpieczeństwa, po „specjalną sankcję”, zezwolenie na przywóz broni artyleryjskiej (najlepiej raketowych miotaczy), a może nawet atomowych pocisków — zaprotestował wraz z innymi, mówiąc, że takim sposobem, nim cokolwiek zwojują, ośmieszą się gruntownie przed całą Ziemią. Zresztą jasne było, że na podobną decyzję międzynarodowego ciała trzeba by czekać co najmniej wiele dni, jeśli nie tygodni, tymczasem zaś „szalony robot” mógł zawędrować Bóg wie gdzie i zaszytego w niedostępnych szczelinach księżycowej skorupy nie dosięgliby już wszystkimi razem armatami; tak więc należało działać zdecydowanie i szybko. Wyjaśniło się wówczas, że największym szkopułem będzie problem łączności, która zawsze była bolączką księżycowych przedsięwzięć. Istniało ponoć około trzy tysiące patentów na wynalazki mające tę łączność usprawnić, od telegrafu sejsmicznego (z użyciem mikrowybuchów jako sygnałów) aż po „trojańskie” satelity stacjonarne. Satelity takie umieszczono na orbitach już w ubiegłym roku — co jednak wcale nie polepszało aktualnej sytuacji. Praktycznie problem był rozwiązany dzięki systemom ultrakrótkich przekaźników, osadzonych na masztach; bardzo to było podobne do dawnych ziemskich linii przesyłkowych przedsputnikowej telewizji. Było to nawet pewniejsze od łączności satelitarnej, ponieważ inżynierowie wciąż jeszcze łamali sobie głowy nad uczynieniem przekaźników orbitalnych niewrażliwymi na „wichry słoneczne”. Każdorazowy skok aktywności słońca i spowodowane nim „huragany” elektrycznie naładowanych cząstek o wysokiej energii, które przesywały próżnię, natychmiast wywoływał zakłócenia utrudniające utrzymanie łączności i to nieraz przez kilka nawet dni. Trwał właśnie jeden

z takich „tajfunów słonecznych”, dlatego wiadomości między Luną I a budową szły linią przekaźników naziemnych i powodzenie „operacji Setaur” zależało od tego, w dużej przynajmniej mierze, czy „zbuntowanemu” nie przyjdzie ochota niszczenia kratowych masztów, których czterdzieści pięć znajdowało się na pustyni, oddzielającej Lunę—miasto z kosmodromem od terenów budowy. Zakładając, oczywiście, że automat nadal będzie grasował w tej okolicy. Miał przecież całkowitą swobodę manewru, nie potrzebując paliwa ani tlenu, ani snu czy odpoczynku, tak samowystarczalny, że niejedyn z inżynierów teraz dopiero na dobre uświadomił sobie, jak doskonałą wysiłkiem własnych rąk zbudowano maszynę — której dalszych kroków nikt nie umiał przewidzieć. Bo, rozumie się, trwały wszczęte jeszcze o świcie rozmowy bezpośrednie Księżyc— Ziemia między kierownictwem akcji a firmą Cybertronics ze sztabem projektantów Setaura — ale nie dowiedziano się od nich nic, czego by już przedtem nie powiedział mały doktor McCork. Tylko laicy próbowali jeszcze namówić specjalistów, aby przy pomocy jakiegoś wielkiego kalkulatora przepowiedzieli taktykę automatu. Czy był inteligentny? Ależ tak, choć po swojemu! Owa „zbędna”, w tej chwili nawet wielce szkodliwa „mądrość” maszyny gniewała wielu uczestników akcji — nie mogli pojąć, po kiego diabła inżynierowie obdarzyli maszynę, przeznaczoną do prac ściśle górniczych, taką swobodą i autonomią działania? McCork wyjaśniał im spokojnie, że „nadmiarowość intelektualna” jest — w obecnej fazie rozwoju technicznego — tym samym, czym nadmiar mocy, jakim z reguły dysponują wszystkie maszyny i silniki konwencjonalne; jest to rezerwa awaryjna, mająca zwiększyć bezpieczeństwo i pewność działania; niepodobna bowiem z góry przewidzieć wszystkich sytuacji/ w jakich się maszyna, czy to energetyczna, czy informacyjna, znajdzie. O tym więc, co może przedsięwziąć Setaur, nikt w gruncie rzeczy nie miał zielonego pojęcia. Oczywiście fachowcy, także i ziemscy, przysyłali swe telegraficzne opinie, bieda była tylko w tym, że się te opinie diametralnie różniły. Jedni przypuszczali, że Setaur będzie usiłował niszczyć obiekty o charakterze „sztucznym”, jak właśnie maszty przekaźnikowe lub wysokiego napięcia, inni natomiast, że będzie wyładowywał swą energię w bezproduktywnym rażeniu wszystkiego, co mu stanie na drodze, czy będzie to księżycowa skała, czy transporter z ludźmi. Pierwsi przychylali się raczej ku koncepcji natychmiastowego ataku, aby go zniszczyć, drudzy doradzali taktykę wyczekiwania. Zgodni byli w tym tylko, że należy koniecznie kontrolować jego ruchy.

Jakoż flotylla księżycowa w liczbie dwunastu małych jednostek od rana patrolowała Morze Spokoju i przysyłała nieustannie meldunki grupie obrony terenów budowy, która z kolei znajdowała się w stałej łączności z kierownictwem kosmodromu. Nie było rzeczą łatwą dostrzec Setaura, okruch metalu w olbrzymiej skalnej pustyni, rojącej się od piargowych pól, pęknięć i na wpół zasypanych szczelin, całej pokrytej nadto ospą miniaturowych kraterów. Gdybyż więc te meldunki były przynajmniej negatywne! Ale patrolujące załogi wielokrotnie już alarmowały personel ziemny doniesieniami o dostrzeżeniu „szalonego”, po czym okazywało się, że był to jakiś szczególnej formy gład albo kawał lawy, iskrzący się w promieniach słońca, i nawet zastosowanie radaru wraz ze wskaźnikami ferroindukcyjnymi niewiele pomagało, ponieważ po dawniejszych akcjach eksploracyjnych z pierwszego okresu opanowania Księżyca na jego skalistych pustyniach pozostało całe mnóstwo metalowych pojemników, jak również wyżarzonych łusek patronów raketowych i najrozmaitszego blaszanego rupiecia, które co jakiś czas stawało się przyczyną nowych alarmów. Tak że kierownictwo operacji poczyniło coraz goręcej życzyć sobie, aby Setaur zaatakował wreszcie jakiś obiekt, aby się pojawił — on jednak dał o sobie znać po raz ostatni przed dziewięcioma godzinami atakiem na mały transporter pogotowia technicznego elektryków i odtąd jakby się zapadł w grunt księżycowy. Ponieważ jednak uznano, że czekać nie można, zwłaszcza że budowa musiała odzyskać dopływ energii elektrycznej, akcja, obejmująca około dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych, polegała na przeczesaniu ich przez dwie, zbieżące ku sobie ze stron przeciwnych, to jest z pomocy i południa, fale pojazdów. Od strony budowy szła jedna ich tyraliera pod dowództwem głównego technologa Strzibra, a od kosmodromu Luny — druga i w niej właśnie rolę koordynatora działań obu stron przy dowódcy, którym był komandor nawigator Pleydar, pełnił

Pirx. Pojmował on doskonale, że w każdej chwili mogą minąć Setaura, chociażby ukrytego w którymś z głębokich rowów tektonicznych, a nawet tylko zamaskowanego jasnym piachem księżycowym, i ani go zauważą; McCork, który jako „doradca–inteletronik” jechał razem z nim, był tego samego zdania.

Transporterem rzucało wprost straszliwie, bo jechali z szybkością, od której, jak uprzedził ich spokojnie kierowca, „po jakimś czasie wypływają oczy”. Znajdowali się w sektorze wschodnim Morza Spokoju i niecała godzina jazdy dzieliła ich od obszaru, w którym mógł — z większym prawdopodobieństwem — przebywać automat. Po przekroczeniu owej umownej granicy mieli wszyscy nałożyć hełmy, aby, w razie niespodzianego rażenia i utraty hermetyczności lub pożaru, natychmiast opuścić pojazd.

Transporter został zamieniony w maszynę bojową, bo mechanicy zamontowali na jego kopulastej wieżyczce górniczy laser wielkiej mocy, ale z jego celnością było raczej kiepsko. Pirx miał ją za całkiem iluzoryczną, zwłaszcza wobec Setaura. Ów posiadał celownik automatyczny, gdyż jego fotoelektryczne oczy były sprzężone z laserem i mógł natychmiast razić to, co znajdowało się w centrum pola widzenia. Oni natomiast mieli jakiś dziwny celownik, bodaj ze starego odległościomierza kosmonautycznego, który wypróbowano w ten sposób, że przed opuszczeniem Luny postrzelali trochę do skałek na horyzoncie. Skały były spore, odległość nie większa od mili, a i tak udało się trafić dopiero za czwartym razem. I tu raz jeszcze dawały się we znaki warunki księżycowe, bo promień lasera jest widoczny jako oślepiająca smuga tylko w ośrodku rozpraszającym, na przykład w atmosferze ziemskiej; (w próżni natomiast pęk światła, dowolnie wielkiej nawet mocy, jest dopóty niewidzialny, dopóki nie trafi w jakąś materialną przeszkodę. Dlatego na Ziemi można strzelać laserem tak, jak się strzela pociskami smugowymi, kierując się widoczną linią ich lotu. Bez celownika na Księżycu był laser pozbawiony praktycznej wartości. Pirx nie krył tego przed McCorkiem, kiedy ledwo parę minut jazdy dzieliło ich od hipotetycznej strefy zagrożenia.

— Nie myślałem o tym — rzekł inżynier. Potem dodał z uśmiechem:

— Czemu właściwie pan mi to mówi?

— Aby pozbawić pana złudzeń — odparł Pirx, nie odrywając oczu od okularów peryskopu. Choć miały pianogumowe poduszcзки, czuł, że przez dłuższy czas (o ile, rozumie się, wyjdzie żywy z tej historii), będzie chodził z podsinionymi oczami. — A także, aby powiedzieć panu, po co wieziemy ten kram z tyłu.

— Te butle? — spytał McCork. — Widziałem, jak je pan brał z magazynu. Co w nich jest?

— Amoniak, chlor i jakieś tam węglowodory — rzekł Pirx. — Myślę, że się może przydadzą...

— Zasłona gazowo–dymna? — domyślił się inżynier.

— Nie, myślałem raczej o jakimś sposobie celowania. Skoro nie ma atmosfery, trzeba ją stworzyć, przynajmniej chwilową...

— Obawiam się, że na to nie będzie czasu...

— Może i nie... Wziąłem to na wszelki wypadek. Przeciwno wariatom najlepsze są taktyki zwariowane...

Zamilkli, bo transporterem zaczęło rzucać jak piłką; amortyzatory dudliły i piszczwały, jakby lada chwila olej miał się w nich zagotować. Pędzili pochyłością usłaną ostrokończystymi głazami. Przeciwległy stok jaśniał pumeksową bielą.

— Wie pan, czego się najbardziej boję? — podjął Pirx, gdy podrzuty transportera nieco złagodniały; dziwnie był jakoś rozmowny. — Nie Setaura — wcale nie... Tych transporterów budowy — bo jeśli choć jeden weźmie nas za Setaura i zacznie pracować laserem, będzie wesoło.

— Widzę, że pan wszystko przewidział — mruknął inżynier. Kadet, siedzący obok radiowca, przechylił się przez oparcie swego fotela i podał Pirxowi nabazgrany ledwo czytelnie radiogram.

„Weszliśmy w teren zagrożenia przy dwudziestym przekąźniku na razie nic stop Strzibr stop koniec” — odczytał Pirx głośno. — No, i my będziemy zaraz musieli nałożyć hełmy...

Maszyna zwolniła trochę, włączając na pochyłość. Pirx zauważył, że nie widzi już lewego sąsiada

— tylko prawy transporter poruszał się ciemną plamką w górę zbocza. Kazał wezwać lewą maszynę przez radio, ale nie było odpowiedzi.

— Zaczynamy się rozsyptywać — rzekł spokojnie. — Tak właśnie to sobie wyobrażałem. Czy nie można wyżej wysunąć anteny? Nie? To trudno.

Byli już na szczycie łagodnego wzniesienia. Spoza widnokregu, odległy o dwieście bez mała kilometrów, wysunął się piłą osłonecznioną grani krater Toricellego, ostro zarysowany na czarnym tle nieboskłonu. Równinę Morza Spokoju mieli już, całą prawie, za sobą. Pojawiły się głębokie rowy tektoniczne, spod piachu wystawały gdzieniegdzie zastygłe płyty magmy, przez które transporter przelazł z wysiłkiem, podnosząc się najpierw niczym łódź na fali, a potem waląc się ciężko w dół, jakby miał lecieć na łeb, na szyję w niewiadomą głębię. Pirx dostrzegł maszt kolejnego przekaźnika, rzucił okiem na przyciśnięty do kolana mapnik pod celuloidową szybką i kazał wszystkim nałożyć helmy. Odtąd mogli się porozumieć już tylko przez wewnętrzny telefon; okazało się, że transporter potrafi trząść jeszcze bardziej niż dotąd — głowa latała mu w helmie jak jądro orzecha w pustej łupinie.

Kiedy, zjeżdżając z pochyłości, znaleźli się niżej, piła Toricellego znikła, zakryta bliższymi wzniesieniami; prawie równocześnie zgubił im się prawy sąsiad. Jeszcze przez parę minut słyszeli jego sygnały wywoławcze, potem zniekształciły je odbicia fal od płyt skalnych i nastąpiła tak zwana „pełna radiocisza”. Bardzo niewygodnie było patrzeć przez peryskop, mając na głowie hełm; Pirxowi zdawało się, że albo wy tłucze jego szybkę, albo zmiążdży okular. Robił, co mógł, aby nie tracić z oczu pola widzenia, które chodziło całe w takt przechyłów maszyny, usiane skalnymi blokami. Gmatwanina czarnych jak smoła cieni i oślepiająco rozjarzonych płaszczyzn kamiennych aż mrowiała w oczach. Naraz mały, pomarańczowy płomyk wyskoczył w mrok dalekiego nieba, zamigotał, skurczył się i znikł. Drugi błysk, nieco silniejszy. Pirx krzyknął: — Uwaga wszyscy! Widzę jakieś eksplozje! — i kręcił gorączkowo korbą peryskopu, odczytując azymut na wyrysowanej w szklach, przezroczystej skali.

— Zmieniamy kurs! — ryknął. — Czterdzieści siedem koma osiem, pełnym ciągiem naprzód!

Właściwie komenda stosowała się do statku kosmicznego, ale kierowca i tak pojął; blachy i wszystkie złącza transportera zatrzęsły się spazmatycznie i, skręciwszy niemal na miejscu, maszyna runęła przed siebie. Pirx uniósł się z siedzenia, bo jego podrzuty odrywały mu głowę od okularu. Znowu błysnęło — tym razem czerwono-fioletowym, wachlarzowatym płomieniem. Ale źródło owych błysków czy wybuchów znajdowało się za polem widzenia, przesłonięte grzbietem, na który wjeżdżali.

— Uwaga wszyscy! — powiedział Pirx. — Przygotować osobiste lasery! Doktorze McCork, proszę do kłapy, jeśli powiem albo w wypadku trafienia, otworzy ją pan! Kierowca! Zmniejszyć szybkość!...

Wzniesienie, na które darła się maszyna, wynurzało się z pustyni jak goleń jakiegoś potwora księżycowego, do połowy utopiony w grubym piachu; skała ta w samej rzeczy przypominała gładkością wypolerowany szkielec czy olbrzymi czerep; Pirx kazał kierowcy wjechać na szczyt. Gąsienice zaczęły jazgotać, jakby stał drapała po szkłe. — Stop! — krzyknął Pirx, transporter, nagle zatrzymany, opadł nosem ku skale, zahuszał się, amortyzatory jęły z wysiłku i znieruchomieli.

Pirx patrzył w płytką kotłinę, z dwu stron ujętą w promienisto wyciągnięte, obłe wały starych potoków magmatycznych; dwie trzecie obszernego zakłębienia leżały w jaskrawym słońcu, trzecią okrywał całun absolutnej czerni. Na tym aksamitnym mroku, jak niesamowity klejnot, żarzył się, gasnąc rubino—wo, na wpół rozpruty szkielec jakiegoś pojazdu. Tylko kierowca widział go wraz z Pirxem, bo pancerne kłapy okien były opuszczone. Pirx, prawdę mówiąc, nie wiedział, co robić. — To jakiś transporter — myślał. — Gdzie jego przód? Od południa? Więc jakby z grupy budowy. Ale kto go dostał, Setaur? W takim razie stoję tu, na widoku, jak kretyn — trzeba się schować. Ale gdzie są wszystkie inne? Tamte i moje?

— Jest! — krzyknął radiotelegrafista. Przełączył aparat transportera na sieć wewnętrzną, tak że

wszyscy mogli słyszeć w hełmach odbierane sygnały.

— Aksymo—portatywny zwał! Ściana otorbielona — powtórzenie z nawrotu zbędne — dojsie według azymutu — metamorfizacja wleokrystaliczna... — wypełnił słuchawki Pirxa głos, wypowiadający słowa wyraźnie, monotonnie i bez żadnej intonacji.

— To on! — ryknął. — Setaur! Halo, radio! Pelengować, prędko pelengować! Proszę podać peleng! No, do wszystkich diabłów! Póki jeszcze nadaje! — Ryczał, aż ogłuszył go własny krzyk, wzmacniony zamkniętą przestrzenią hełmu; nie czekając, kiedy telegrafista ocknie się, skoczył, pochylony, pod szczyt kopułki, chwycił podwójny uchwyt ciężkiego lasera i zaczął obracać nim razem z kopułką, mając już oczy przy celowniku. Tymczasem w hełmie ciągnął ów niski, jakby smutny trochę, miarowy głos:

— Trudnodwutliwe niedobarwienie wiskozalne — nie okorowane segmenty bez ponownych wtrętów siodlastych — i ta bezsensowna gadanina zdawała się słabnąć.

— Co jest z tym pelengiem, do cholery?!!

Pirx, nie odrywając oczu od celownika, usłyszał niewyraźny rumor — to McCork skoczył do przodu, odtrącił radiowca, coś się tam szamotało...

Nagle usłyszał w słuchawkach spokojny głos cybernetyka:

— Azymut 39,9... 40,0... 40,1... 40,2...

— On się porusza! — zrozumiał Pirx. Kopułką trzeba było obracać, kręcąc korbami, i mało mu ramię nie wyskoczyło ze stawu — tak kręcił. Cyferki przesunęły się leniwie. Czerwona linia przeskoczyła czterdziestkę.

Nagle głos Setaura zwinął się w przeciągły pisk i umilkł. W tej samej chwili Pirx nacisnął spust i o pół kilometra niżej, na samej granicy świata i cienia, skała bluznęła nadświetlnym ogniem.

Przez grube rękawice okropnie trudno było utrzymać nieruchomo rękojeści. Płomień, jaśniejszy od słonecznego, wświdrował się w ciemność dna kotliny, o kilkadziesiąt metrów od gasnącego wraku, stanął i — rozbryzgując płaty żaru linią wciął się dalej, strzeliwszy dwa razy pękami iskier. Coś bełkotało w słuchawkach. Pirx nie zważał na to, pruł dalej tą linią najciemniejszego, najstraszliwszego ognia, aż rozbiła się na tysiąc odśrodkowych rykoszetów o jakiś skalny filar. W oczach narastały mu czerwono wirujące kręgi — ale zobaczył przez ich wiry oślepiająco błękitne oko, mniejsze od końca igły, które otwarło się na samym dnie ciemności, gdzieś z boku, nie tam, gdzie strzelał — i nim zdążył poruszyć rękojeściami lasera, aby przesunąć go razem z obrotnicą, skała przy samej maszynie wybuchła płynnym słońcem.

— Cała wstecz! — ryknął, uginając odruchowo nogi, skutkiem czego przestał widzieć cokolwiek, ale i tak niczego by już nie zobaczył, prócz tych czerwonych, pełznących wolno kręgów, które stawały się na przemian czarniawe i złote.

Silnik zagrzmiał, rzuciło nimi tak, że Pirx upadł na sam dół i poleciał do przodu, między kolana kadeta i radiowca; wszystkie butle, które wieźli na panczerzu, choć dobrze przymocowane, przeraźliwie zadzwoniły. Lecieli tyłem, coś chrupnęło potwornie pod gąsienicą, obróciło ich, zarzuciło w drugą stronę, przez jedno mgnienie wydawało się, że transporter zaczyna się już walić na grzbiet... Kierowca, rozpaczliwie dusząc gaz, hamulce, sprzęgło, jakoś opanował ten wściekły poślizg, maszynę przeszedł długi dreszcz i stanęła.

— Jest hermetyczność?! — krzyknął Pirx, zbierając się z podłogi. — Szczęście, że gumowana — zdążył pomyśleć.

— Jest!

— No, to było dosyć blisko — rzekł już całkiem innym głosem, wstając i rozprostowując grzbiet. I nie bez żalu dodał ciszej: — Jakies dwie setne więcej w lewo i byłbym go już miał...

McCork wracał na swoje miejsce.

— Doktorze, dziękuję panu! — zawołał Pirx, już przy peryskopie. — Halo, kierowca, proszę zjechać na dół tym samym szlakiem, którym wjeżdżaliśmy. Tam są takie małe skałki, coś w rodzaju bramy — o, to, to! — proszę wjechać w cień między nimi i zastopować...

Transporter powoli, jakby z przesadną ostrożnością, wszedł między częściowo zasypane

piaskiem bloki skalne i zastygł w ich cieniu, który uczynił go niewidzialnym.

— Doskonale! — rzekł prawie wesoło Pirx. — Teraz potrzebuję dwu ludzi, którzy pójdą ze mną na mały zwiad...

McCork zgłosił się równocześnie z kadetem.

— Dobrze! Uwaga, wy — zwrócił się do reszty — zostaniecie tutaj. Nie ruszajcie się z cienia, nawet gdyby Setaur wyszedł prosto na was — siedźcie cicho. No, chyba żeby niemal włąził na transporter, wtedy musicie się bronić, macie laser — ale to mało prawdopodobne... Pan — zwrócił się do kierowcy — pomoże temu młodemu człowiekowi zdjąć z pancerza te butle z gazem, a pan — to było do telegrafisty — będzie wywoływał Lunę, kosmodrom, budowę, patrole i pierwszemu, kto się zgłosi, powie pan, że on zniszczył jeden transporter, zdaje się budowy, i że trzech ludzi z naszej maszyny poszło na niego zapolować. Więc żeby tam nikt nie pchał się z laserami, nie strzelał na oślep i tak dalej... A teraz idziemy!

Ponieważ każdy z nich mógł wziąć tylko jedną butlę, zabrali cztery. Pirx poprowadził towarzyszy nie na szczyt „czerepu”, lecz nieco dalej, gdzie widoczny był wiodący pod górę, płytki wąwozek. Doszli jak daleko się dało, ustawili butle pod wielkim głazem i Pirx polecił kierowcy, aby wracał. Sam, wychyliwszy się nad powierzchnię głazu, lornetował wewnątrz kotliny. McCork i kadet przycupnęli obok niego; po dobrej chwili odezwał się:

— Nie widzę go. Doktorze, czy to, co on mówił, miało jakiś sens?

— Raczej nie. Zlepki słów — coś w rodzaju schizofrenii...

— Ten wrak już dogasa — rzekł Pirx.

— Dlaczego pan strzelał? — spytał McCork. — Tam mogli być ludzie.

— Nie było nikogo.

Pirx przesuwiał lornetę milimetr po milimetrze, lustrując każdy załom oświetlonej słońcem przestrzeni.

— Nie zdążyli wyskoczyć.

— Skąd pan to może wiedzieć?

— Bo przeciął maszynę na pół. To nawet jeszcze teraz widać. Musieli chyba prawie najechać na niego. Raził z kilkudziesięciu metrów. A poza tym obie klapy zostały zamknięte. Nie — dodał po kilku sekundach — w słońcu go nie ma. A wymknąć się raczej nie zdążył... Spróbujemy go wywabić.

Schyliwszy się, dźwignął ciężką butlę na szczyt głazu i, pchając ją przed sobą, mruknął przez zęby:

— To są właśnie te indiańskie historie, o których zawsze marzyłem...

Butla pochyliła się; trzymał ją za wentyle i rozplaszczony na kamieniach, powiedział:

— Jeżeli zobaczycie błękitny błysk, strzelajcie od razu — w to jego laserowe oko...

Pchnął z całej siły butlę, która najpierw wolno, a potem z rosnącą chyżością poczęła się toczyć po pochyłości. Wszyscy trzej złożyli się do strzału, butla przebyła już ze dwieście metrów i toczyła się wolniej, bo pochyłość malała. Parę razy zdawało się, że zatrzymają ją wystające kamienie, ale przewalała się przez nie i, coraz mniejsza, już jako ciemno błyszcząca plamka, zbliżała się do dna kotliny.

— Nic? — rzekł rozczarowany Pirx. — Albo jest mądrzejszy, niż myślałem, albo nie zwraca na nią uwagi, albo...

Nie dokończył. Na stoku pod nimi łysnęło oślepiająco. Płomień przekształcił się niemal natychmiast w ciężką, brudnożółtą chmurę, której środek jarzył się jeszcze ponurym ogniem, a brzegi rozplywały się, uczezione odnogami głazów.

— Chlor... — rzekł Pirx. — Czemuście nie strzelali? Nic nie było widać?

— Nic — jednym głosem odparli kadet i McCork.

— Łajdak! Ukrył się pod jakimś załomem albo razi z flanki. Teraz to już naprawdę wątpię, aby coś z tego było, ale spróbujemy...

Podniósł drugą butlę i wyprawił ją w ślad za pierwszą.

Potoczyła się zrazu tak samo, ale gdzieś w połowie zбочa zakręciła i znieruchomiła. Pirx nie patrzył na nią — całą uwagę skoncentrował na trójkątnym płacie mroków, w którym czaił się gdzieś Setaur. Sekundy miały powoli. Naraz krzaczasty wybuch rozsądził zбочe. Miejsca, w którym ukrył się automat, nie udało się Pirxowi zobaczyć, ale dostrzegł linię strzału, a właściwie jej część, bo zmaterializowała się na kształt słonecznie płonącej nici, kiedy przeszła przez resztki pierwszej gazowej chmury. Natychmiast powiódł celownikiem wzdłuż owej świecącej trajektorii, która już gasła, i kiedy na skrzyżowaniu nitek miał skraj ciemności, nacisnął spust. Chyba równocześnie to samo zrobił McCork, a po mgnieniu przyłączył się do nich kadet. Trzy ostrza słoneczne przeorały czarne dno kotliny i zarazem jakby jakieś olbrzymie, gorące wieko zatrzęsęło się tuż przed nimi — chroniący ich głąz cały zadrgał, z jego krawędzi sypnęło miriadam gwałtownych tęcz, płonący kwarc osypał im skafandry i hełmy, stygnąc momentalnie w mikroskopijne lezki; leżeli już rozplaszczeni w cieniu skały, a nad ich głowami, niczym rozżarzona do białości klinga, śmignęło drugie i trzecie wyładowanie, muskając powierzchnię głązu, która pokryła się natychmiast szklisto zastygającymi bąblami.

— Wszyscy cali? — spytał Pirx, nie podnosząc nawet głowy.

— Tak! — Ja też! — posłyszał w odpowiedzi.

— Proszę zejść do maszyny i powiedziec telegraficie, żeby wzywał wszystkich, bo mamy go tu i postaramy się go przytrzymać, jak długo się da — zwrócił się Pirx do kadeta, który odczołgał się wstecz i zbiegł, pochylony, w stronę skał, wśród których stała gąsienicówka.

— Zostały nam dwie butle, po jednej dla każdego. Doktorze, zmienimy teraz stanowisko. A proszę uważać i dobrze się kryć, bo on już wstrzelał się w ten nasz grzbiecik...

Z tymi słowami Pirx podniósł jedną butlę i, wykorzystując cienie, rzucane przez duże bloki skalne, ruszył, jak mógł najszybciej, przed siebie. Jakies dwieście kroków dalej usadowili się w szczybie magmatycznego obwałowania. Kadetowi, który wracał od transportera, nie od razu udało się ich znaleźć. Dyszał, jakby przebiegł co najmniej milę.

— Spokojnie, nie pali się! — rzekł Pirx. — No, co tam słycać?

— Łączność nawiązana... — Kadet kucnął przy Pirxie, który widział mrugające za szybką hełmu oczy chłopca. — W tej maszynie, co zginęła... było czterech ludzi budowy. Druga musiała się wycofać, bo miała defekt lasera... a reszta przeszła bokiem i niczego nie zauważyła... — Pirx skinął głową, jakby mówił: „tak właśnie sobie myślałem”.

— Co więcej? Gdzie nasza grupa?

— Prawie cała jest dwadzieścia mil stąd, był tam fałszywy alarm, jakiś patrol raketowy doniósł, że widzi Setaura i wszystkich tam ściągnęli. A trzy maszyny nie odpowiadają na wezwania.

— Kiedy tu będą?

— Na razie jest tylko odbiór... — nieśmiało powiedział kadet.

— Tylko odbiór? Jak to?!

— Telegrafista mówi, że albo coś się stało z nadajnikiem, albo w tym miejscu wygasza mu się emisja. Pyta się, czy może zmienić miejsce postoju, żeby spróbować...

— Niech zmieni to miejsce, jeżeli musi — odparł Pirx. — A proszę nie pędzić tak! Patrzeć pod nogi!

Ale tamten już chyba nie bardzo słyszał, bo gnał z powrotem.

— W najlepszym razie będą tu za pół godziny, jeśli uda się nawiązać łączność — powiedział Pirx. McCork milczał. Pirx rozważał, co począć. Czeakać czy nie czeakać? Forsowanie kotliny transporterami zapewniłoby chyba sukces, ale nie bez strat. Maszyny w przeciwieństwie do Setaura były celami wielkimi, powolnymi i musiały wystąpić razem, bo pojedynki skończyłyby się tak samo jak tamten z gąsienicówką budowy. Usiłował wykombinować jakiś manewr, który wywabiłby Setaura na oświetloną przestrzeń. Gdyby tak można puścić jeden bezładny, zdalnie kierowany transporter na wabia, a porazić automat skądinąd, powiedzmy z góry...

Przyszło mu do głowy, że właściwie wcale nie musi czekać na nikogo, skoro ma jeden transporter. Ale plan nie konkretyzował się jakoś. Tak puścić po prostu maszynę na oślep — to by

nie miało sensu. Rozniesie ją w strzępy, a sam nie będzie wcale musiał ruszyć się z miejsca. Czyżby się orientował, że strefa cienia, w której tkwi, daje mu taką przewagę? Ale to nie jest przecież maszyna, stworzona do walki z całą jej taktyką... Jest w tym szaleństwie jakaś metoda, ale jaka? Siedzieli, skuleni, u stóp kamiennej płyty, w jej gęstym, chłodnym cieniu. Naraz Pirxowi wydało się, że postępuje jak ostatni osioł. Gdyby był na miejscu tego Setaura — tam — co by zrobił? Od razu poczuł niepokój, ponieważ był pewny, że usiłowałyby atakować. Bierne oczekiwanie wypadków nie mogło przynieść żadnej korzyści. Więc może on posuwa się ku nim? Właśnie teraz? Może przecież dojść aż do zachodniego urwiska, cały czas poruszając się pod osłoną ciemności, a dalej jest tam tyle ogromnych głazów i popękanej lawy, że w tym labiryncie można kryć się Bóg wie jak długo...

Był już niemal pewien, że Setaur postąpi tak właśnie i że mogą się go spodziewać w każdej chwili.

— Doktorze, obawiam się, żeby nas nie zaskoczył — powiedział szybko, zrywając się na nogi. — A jak pan myśli?

— Sądzi pan, że on może nas podejść? :— spytał McCork i uśmiechnął się. — I mnie to przyszło do głowy. Owszem, to nawet logiczne, ale czy on postępuje logicznie? Oto pytanie...

— Musimy jeszcze raz spróbować — mruknął Pirx. — Trzeba spuścić te butle na dół; zobaczymy, co zrobi...

— Rozumiem. Czy już?...

— Tak. Uwaga!

Wciągnęli je na szczyt wzniesienia, i, starając się pozostać niewidzialnymi z dna kotliny, pchnęli prawie razem oba metalowe cylindry. Niestety, brak powietrza nie pozwalał usłyszeć, czy i jak się toczą. Pirx zdecydował się i czując się dziwnie nagi — zupełnie jakby nie miał na głowie stalowej kuli, a na całym ciele trójwarstwowego, wcale nielekkiego skafandra — przywarłszy płasko do skały, ostrożnie wychylił głowę.

W dolinie nic się nie zmieniło. Tyle że wrak maszyny przestał być widoczny, bo jego ostygłe szczątki zlały się z otaczającą ciemnością. Cień zajmował tę samą przestrzeń o kształcie nieregularnego, bardzo wydłużonego trójkąta, opartego podstawą o urwiska najwyższego, zachodniego grzebienia skał. Jedna butla zatrzymała się jakieś sto kroków pod nimi, bo trafiła na kamień, który ustawił ją podłużnie. Druga toczyła się jeszcze, coraz wolniej, coraz mniejsza, aż znieruchomiała. I to, że na tym się skończyło, wcale nie spodobało się Pirxowi. — On naprawdę nie jest głupi — pomyślał. — Nie chce strzelać do celu, który mu się podtyka. — Usiłował odnaleźć miejsce, z którego Setaur przed jakimś dziesięcioma minutami ostatni raz dał znać o sobie błyśnięciem laserowego oka, ale było to bardzo trudne.

— Może go tam już nie ma — rozważał. — Może cofać się po prostu na północ; może iść równoległe, dnem kotliny, albo jednym z tych pęknięć magnetycznego potoku... Jeżeli dostanie się w strefę urwiska, w ten labirynt, to przepadnie jak kamień w wodzie...

Powoli, po omacku, uniósł kolbę lasera i rozluźnił mięśnie.

— Doktorze McCork! — powiedział. — Proszę do mnie!

A kiedy doktor podczołgał się do niego, rzekł:

— Widzi pan obie butle? Jedna na wprost, pod nami, a druga dalej...

— Widzę.

— Strzeli pan najpierw do bliższej, potem do dalszej, w odstępnie — powiedzmy — czterdziestu sekund... Ale nie stąd! — dodał szybko. — Musi pan znaleźć lepsze miejsce. O! — pokazał ręką. — Tam jest niezłe stanowisko, w tym wgłębieniu. A kiedy pan strzeli, proszę natychmiast odczołgać się w tył. Dobrze?

McCork o nic nie pytał, lecz od razu ruszył, nisko schylony, we wskazaną stronę. Pirx czekał niecierpliwie. Jeżeli jest choć trochę podobny do człowieka, musi być ciekawy. Każde inteligentne stworzenie jest ciekawe — i ta ciekawość popycha je do działania, gdy zdarzy się coś niezrozumiałego... Nie widział już doktora. Zakazał też sobie patrzenia na butle, które miały

ekspłodować pod jego strzałami; całą uwagę skupił na pasie osłonecznionego rumowiska między strefą cienia a zerwą. Przyłożył do oczu lornetę i skierował ją w ten obszar lawospadu; w szklach przepływały wolno groteskowe kształty, uformowane niczym w pracowni jakiegoś rzeźbiarza— abstrakcjonisty: ścieńczale, śrubowo poskręcane obeliski, tafle zryte węzowiskami pęknięć — od gmatwaniny jaskrawych płaszczyzn i zygzakowatych cieni coś aż łaskotało dno oka. Samym skrajem spojrzenia zauważył pęczniejący nisko pod sobą, na stoku, błysk. Po dłuższej chwili strzelił drugi. Cisza. Tylko pulsy łomotały w hełmie, przez który słońce starało się wświdrować promieniami w jego czaszkę. Wodził obiektywem po tym pasie chaotycznie poszczepianych odłamów.

Coś tam drgnęło. Zastygł. Nad brzytwowatym ostrzem płyty, podobnej do rozpekłego brzeszczotu jakiejś olbrzymiej siekiery kamiennej, wysunął się półkulisty kształt, kolorem zbliżony do ciemnej skały, ale ten kształt miał ramiona, które chwyciły się z obu stron głazu i teraz widział go już — do połowy torsu. Nie wyglądał jak bezgłowy, raczej jak człowiek, któremu nałożono nadnaturalną maskę afrykańskiego czarownika, zakrywającą twarz, szyję i kark, jakby rozplaszczoną i przez to trochę monstrialną... Łokciem prawej ręki czuł kolbę lasera, lecz ani mu w głowie było teraz strzelać. Ryzyko było zbyt wielkie — szansa trafienia z broni stosunkowo słabej, na podobną odległość, nikła. Tamten, znieruchomiały, zdawał się wpatrywać tym swoim ledwo wystającym nad barki łbem w resztki dwóch chmur gazowych, które ściekały po stoku, rozprężając się bezsilnie w próżni. To trwało dość długo. Wyglądało na to, że nie wie, co się stało, że waha się, co robić. W tym jego wahaniu, w owej niepewności, którą Pirs doskonale pojmował, było coś tak niesamowicie bliskiego, ludzkiego, że mu się gardło ścisnęło. Co ja bym robił na jego miejscu, co bym pomyślał? Że ktoś strzelił do takich samych przedmiotów, do których ja poprzednio strzelałem, a więc że to chyba nie jest przeciwnik, wróg, ale raczej jakby sojusznik. Ale wiedziałbym chyba, że nie mam żadnego sojusznika? A gdyby to był ktoś taki jak ja sam?

Tamten drgnął. Ruchy miał płynne i niezwykle szybkie. Pojawił się naraz cały, wyprostowany na owym dęba stojącym głazie, jakby wciąż jeszcze wypatrywał tajemniczej przyczyny dwóch eksplozji. Potem odwrócił się i zeskoczywszy w dół, zaczął, lekko pochylony do przodu, biec — chwilami ginął Pirsowi z oczu, ale nigdy na dłużej niż kilka sekund, by znowu wychynąć na światło słoneczne w którejś z odnóg magmatycznego labiryntu. W ten sposób zbliżał się do Pirxa, tyle że biegnąc cały czas u dna kotliny; dzieliła ich już ledwie przestrzeń stoku i Pirs zastanawiał się, czy jednak nie strzelić. Ale tamten migał mu tylko w wąskich pasach światła i znowu roztopiał się w czerni — a że wciąż musiał zmieniać kierunek, bo wybierał drogę między zwaliskami, nie dawało się z góry przewidzieć, gdzie jego, pracujące dla utrzymania równowagi jak u biegnącego człowieka, ramiona i jego bezgłowy tors wynurzą się w następnej chwili, aby łysnąć metalicznie i raz jeszcze szczepnąć. Wtem piorunowy zygzak rozciął mozaikę rumowiska, krzesząc długie pióropusze iskier wśród bloków, tam gdzie Setaur biegł właśnie. Kto to strzelił? Pirs nie widział McCorka, ale linia ognia przyszła z przeciwnej strony — chyba tylko kadet, ten smarkacz, ten osioł! Kłął go, wściekły, bo nic oczywiście nie wskórał — grzbiet z metalu mignął już dalej, na ułamek sekundy, i znikł na dobre. — I do tego jeszcze strzelał mu w plecy! — pomyślał Pirs z wściekłością, nie czując wcale bezsensowności tego zarzutu. A Setaur nie spróbował nawet odpowiedzieć ogniem — czemu? Usiłował go dojrzeć — daremnie. Czyżby go już zakrył stok swoją wypukłością? To całkiem możliwe... W takim razie można się tu teraz bezpiecznie poruszać... Pirs zsunął się ze swego głazu widząc, że z tego miejsca nic już nie wypatrzy. Pobiegł, lekko schylony, samą granią, minął kadeta, który leżał jak na strzelnicy — z płasko rozrzuconymi i przyciśniętymi do skały stopami, i poczuł niezrozumiałą chętkę, aby go kopnąć w tyłek, śmiesznie wystający i powiększony jeszcze nie dopasowanym skafandrem. Zwolnił, ale tylko, aby zawołać:

— Nie waż mi się strzelać, słyszysz?! Odlóż ten laser!

I nim tamten, przewracając się na bok, ogłupiałym ze zdziwienia spojrzeniem zaczął go szukać — bo głos ów doszedł go ze słuchawek, nie zdradzając kierunku ani miejsca, w którym znajdował się Pirs — pobiegł już dalej; w obawie, że marnuje czas, przyspieszał, jak mógł, aż znalazł się

naprzeciw szerokiego pęknięcia, które otwarło mu nagle widok aż po dno kotliny.

Był to rodzaj rowu tektonicznego, tak starego, że brzegi jego skruszały, straciły ostrość i upodobniły się do rozszerzonego erozją górskiego żlebu. Zawahał się. Nie widział Setaura, zresztą chyba nie mógłby go stąd zobaczyć. Zapuścił się więc w ów żleb z laserem gotowym do strzału, czując dobrze, że popełnia szaleństwo, a jednak nie mógł oprzeć się temu, co go tam popychało; mówił sobie, że go chce tylko zobaczyć, że zatrzyma się w pierwszym miejscu, z którego dobrze będzie mógł wypenetrować ostatni odcinek zerwy i cały labirynt rumowiska pod nią, i może nawet w chwili, kiedy tak biegł, wciąż pochylony, a kamyki gradem tryskały mu spod butów, wierzył w to; zresztą nie zastanawiał się w tych sekundach nad niczym. Był na Księżycu, ważył więc ledwo piętnaście kilogramów, ale i tak rosnąca pochyłość podcinała mu nogi, gnał ośmiometrowymi susami, hamując, jak tylko mógł, przebył już połowę długości stoku, żleb kończył się płytkim wybiegiem — w słońcu, czarne od przeciwslonecznej, a roziskrzone od południowej strony, trwały jakieś sto metrów niżej pierwsze bloki lawospadu. — Wpakowałem się — pomyślał; do obszaru, w którym krążył Setaur, można było stąd niemal ręką sięgnąć. Popatrzał błyskawicznie w lewo i w prawo. Był sam — grzbiet został wysoko nad nim rozprażoną stromizną u czarnego nieba — przedtem mógł zaglądać do przesmyków między głazami jakby z lotu ptaka, teraz sieć międzyskalnych szczelin zasłoniły mu najbliższe bloki kamienne. — Niedobrze — pomyślał — może wrócić? — Nie wiadomo dlaczego wiedział, że tego nie zrobi.

Nie mógł jednak tak stać. Kilkanaście kroków niżej znajdował się samotny odłam magmy, najwyraźniej koniec tego jej jęzora, który ongiś wylewał się rozżarzonego potokiem z wielkich zwisów podnóża Toricellego — i dosięgnął, ostatnim wybiegiem, tego zapadliska. W braku innego to było jśszcze najlepsze ukrycie. Dopadł go jednym skokiem, przy czym szczególnie niemiłe było owo długie księżycowe szybowanie, spowolniony lot, jak we śnie, do którego nigdy naprawdę się nie przyzwyczaił. Skulony za tą kanciastą bryłą wyrzwał spoza niej i zobaczył Setaura, który wychynął spoza dwóch ostrokończystych igliczek, obszedł trzecią, musnąwszy ją metalowym barkiem i zatrzymał się. Pirx widział go z boku, oświetlonego tylko częściowo, bo jedynie prawe ramię świeciło ciemno i tłusto, jak dobrze nasmarowana część maszyny — resztę korpusu okrywał cień. Podnosił już laser do oka, kiedy tamten, jakby w nagłym przeczuciu, znikł niczym zdmuchnięty. Stał tam chyba dalej, cofnął się tylko w cień? Więc może strzelić w ten cień? Miał go już na muszce, ale nie położył nawet palca na cynglu. Rozluźnił mięśnie, lufa opadła. Czekał. Setaura nie było. Rumowisko rozpościerało się tuż pod nim iście piekielnym labiryntem, można się tam było bawić w chowanego godzinami — zeszkłona lava popękała w geometryczne, a zarazem niesamowite kształty. — Gdzie on jest? — myślał. — Żeby chociaż dało się cokolwiek usłyszeć, ale ta przeklęta bezpowietrzna okolica, jak w koszmarze jakimś... Gdybym spuścił się w dół, mógłbym na niego zapolować. Nie, nie zrobię tego, ja nie jestem przecież wariatem... Ale pomyśleć wolno przecież wszystko — zerwą nie ma więcej niż dwanaście metrów, to jakby skok z dwóch na Ziemi; znalazłbym się w cieniu pod nią, byłbym niewidoczny i mógłbym posuwać się wzdłuż niej, cały czas mając plecy chronione skałą, a on prędzej czy później wyjdzie mi prosto na łufę... Nic się w kamiennym labiryncie nie działo. Na Ziemi przez ten czas słońce porządnie by się już przesunęło, ale panował tu długi dzień księżycowy, więc trwało wciąż jakby na tym samym miejscu, wygaszając najbliższe gwiazdy, że otaczała je czarna pustka, przerośnięta jakby pomarańczową, krzaczastą mgiełką... Wysunął się do połowy spoza swego głazu. Nic. Zaczynało go to już gniewać. Dlaczego tamci nie nadjeżdżają? Niemożliwe, żeby dotąd nie było radiołączności... Może wypłoszą go wreszcie z tych gruzów... Spojrzał na zegarek pod grubym szkłem przegubu i zdumiał się — od ostatniej rozmowy z McCorkiem minęło ledwo trzynaście minut.

Gotował się już do opuszczenia swego stanowiska, kiedy stały się naraz dwie rzeczy, jednakowo niespodziewane. W bramie skalnej, między oboma magmatycznymi obwałowaniami, które zamykały kotlinę od wschodu, zobaczył sunące, jeden za drugim, transportery. Były jeszcze daleko, ponad kilometr chyba, i szły całą mocą, ciągnąc za sobą długie, pozornie sztywne kity skłębionego

kurzu. Zarazem dwoje jakby ludzkich, tyle że w metalowe rękawice odzianych, wielkich rąk pokazało się na samym brzegu urwiska, a w ślad za nimi, tak szybko, że nie zdążył się cofnąć, wychynął Setaur. Dzieliło ich nie więcej niż dziesięć metrów. Pirx zobaczył zastępujące głowę, masywne wyrzucenie torsu między potężnymi barami, w którym lśniły nieruchomo szkła otworów optycznych, jak dwoje czarnych, szeroko rozstawionych oczu, wraz ze środkowym, trzecim, straszliwym pod zamkniętą w tej chwili powieką laserowego miotacza. On sam miał wprawdzie laser w ręku, ale reakcje maszyny były niezrównanie szybsze od jego własnych, zresztą nawet nie próbował się złożyć — po prostu zamarł w pełnym słońcu, na ugiętych nogach, tak jak zastało go, kiedy podrywał się z ziemi, nagle pojawienie się tamtego, i patrzyli na siebie: posąg człowieka i posąg maszyny, oba obleczone w metal. Wtedy straszliwy blask rozdarł całą przestrzeń przed Pirxem, który, pchnięty ciosem żaru, runął w tył. Lecąc nie stracił przytomności i w owym ułamku sekundy czuł tylko zdziwienie, bo przysiągłby, że to nie Setaur go poraził, gdyż do końca widział ciemne i ślepe jego laserowe oko.

Upadł na wznak, bo wyładowanie poszło bokiem — ale najwidoczniej w niego celowano, ponieważ potworny rozbłysk powtórzył się w oka mgnieniu i odłupał część kamiennej iglicy, która go przedtem chroniła; bryznęła kroplami płynnego minerału, w locie zmieniającymi się w oślepiającą pajęczynę. Ale teraz uratowało go to, że celowali na wysokość wzrostu, a on leżał — to była pierwsza maszyna, to z niej bili laserem. Przekręcił się na bok i zobaczył wtedy plecy Setaura, który, nieruchomy, jak odlany z brązu, dwa razy łysnął liliowym słońcem. Nawet z tej odległości widać było, jak przedniemu transporterowi odwalilo całą gaśienicę razem z rolkami i kołem wiodącym; podniosła się tam taka chmura kurzu i świecących gazów, że drugi transporter, oślepiiony, nie mógł już strzelać. Dwu- i półmetrowy olbrzym popatrzał niespiesznie na leżącego człowieka, który ścisnął jeszcze swoją broń, odwrócił się i ugiął lekko nogi, chcąc skoczyć na powrót tam, skąd przyszedł, lecz Pirx, niewygodnie, bokiem, strzelił do niego — chciał tylko podciąć mu nogi, ale łokieć zachwiał się, kiedy ciągnął za spust, i płomienny nóż rozplątał olbrzyma od góry do dołu, tak że już jako masa żarzącego się żelastwa runął na dno rumowiska.

* * *

Załoga zniszczonego transportera wyszła z niego cało — nawet bez poparzeń i Pirx dowiedział się, co prawda dużo później, że strzelali do niego, bo Setaura, ciemnego na ciemnym tle urwiska, w ogóle nie dostrzegli. Niedoświadczony celowniczy nie zwrócił uwagi nawet na to, że sylwetka, którą bierze na muszkę, ma jasną barwę aluminiowego skafandra. Pirx był prawie pewny, że następnego strzału już by nie przeżył.

Uratował go Setaur — ale czy zdawał sobie z tego sprawę? Wiele razy wracał myślą do tych kilku ostatnich sekund i za każdym razem umacniał się w przekonaniu, że tamten znajdował się w miejscu, z którego mógł ocenić, kto jest właściwym celem dalekiego ognia. Czy to miało znaczyć, że chciał go ocalić? Na to nikt nie umiał udzielić odpowiedzi. Intellektonicy uważali wszystko za „zbieg okoliczności” — żaden nie potrafił uzasadnić tego gołosłownego twierdzenia. Z niczym podobnym dotąd się nie spotkano, fachowa literatura nie notowała takich wypadków. Wszyscy uznali, że Pirx działał tak, jak musiał działać — ale to mu nie wystarczyło. Na długie lata został mu w pamięci obraz ułamkowych chwil, kiedy otarł się o śmierć i wyszedł cało po to, by nigdy nie poznać całej prawdy — i gorzka była świadomość, że w sposób tyleż podstępny, co nikczemny zabił, ciosem w plecy, swego zbawcę.

WYPADEK

Aniel nie wrócił o czwartej, lecz nikt jakby tego nie zauważył. Przed piątą zapadał już mrok i Pirx, nie tyle niespokojny co zdziwiony, chciał spytać Krulla, co to może znaczyć. Powstrzymał się jednak — nie był dowódcą grupy i takie pytanie, chociaż nawet uprawnione i całkiem niewinne, mogło wywołać istną reakcję łańcuchową zadrażnień. Znał ten objaw dobrze, powtarzało się to nieraz, zwłaszcza kiedy zespół był tak przypadkowy jak właśnie ten. Trzech ludzi o specjalnościach rozstrzelonych, jak to tylko możliwe, w sercu gór na nic nikomu niepotrzebnej planety, wypełniających zadanie, które wszyscy, jak i on, uważali chyba za bezsensowne. Przywieziono ich małym, starym grawistatem, który miał tu już zostać, bo i tak nadawał się tylko na złom, razem ze składanym, aluminiowym barakiem, garścią sprzętu i radiostacją, tak spracowaną, że więcej było z nią kłopotu niż pożytku, za czym w siedem tygodni mieli dokonać „ogólnego rozpoznania”, jakby to było możliwe. Pirx nigdy by nie przyjął takiego zadania, rozumiejąc, że chodzi tylko o powiększenie zasięgu badań, dokonywanych przez eksploracyjny pion Bazy, o jeszcze jedną cyferkę w raportach, którymi karmiono jej maszyny informacyjne, co zapewne mogło mieć niejakie znaczenie przy rozdziale środków, ludzi i mocy na rok następny. I po to, żeby na taśmach pamięciowych pojawiła się owa rozbita w dziurki cyfra, siedzieli przez pięćdziesiąt bez mała dni w pustkowiu, które w innych okolicznościach byłoby może atrakcyjne, chociażby jako teren wspinaczkowy. Przyjemności alpinistyczne były jednak, rozumie się, najsurowiej zakazane, i Pirx mógł sobie najwyżej wyobrazić trasy pierwszych przejść podczas pomiarów sejsmicznych i triangulacyjnych.

Planeta nie miała nawet nazwy innej jak Jota łamane przez 116, łamane przez 47, Proximy Wodnika. Była najbardziej podobna do Ziemi ze wszystkich, jakie Pirx kiedykolwiek widział, z małym, żółtym słońcem, słonymi oceanami, buraczkowo-zielonymi od pracowitych glonów, sycących atmosferę tlenem, i wielkim, trójpłatowym kontynentem, pokrytym pierwocinami roślinności. Nadawałaby się doskonale do kolonizacji, gdyby nie to, że słońce jej było typu G, nowo odkrytej podmiany G VII, a więc niepewne, bo podejrzane o chwiejność emisji; skoro zaś astrofizycy wypowiedzieli swoje veto, to choć przemiana w Nową mogła nastąpić dopiero za sto milionów lat, wszelkie plany zagospodarowania tej Ziemi Obiecanej należało przekreślić.

Pirx żałował niekiedy, że dał się nabrać na tę ekspedycję, ale nie był to żal całkiem szczery. Tak czy owak musiał tkwić w Bazie przez trzy miesiące wobec braku wcześniejszego połączenia z systemem słonecznym, więc mając w perspektywie wysiadywanie w podziemnych ogrodach klimatyzowanych Bazy i ogłupiające seanse telewizyjne (była to rozrywka puszkowana, licząca sobie co najmniej dziesięć lat), przystał chętnie na propozycję przełożonego, który znowuż rad był, że może się przysłużyć Krullowi — nie miał bowiem żadnych wolnych ludzi, a regulamin zakazywał wysyłania tylko dwóch. Tak więc Pirx spadł kosmografowi jak z nieba. Zresztą Krull nie okazał zachwyty ani wtedy, ani później; początkowo Pirx myślał nawet, że tamten podejrzewa go o „wielkopańską zachciankę”, skoro z dowódcy statków zgodził się zostać szeregowym eksploratorem; wyglądało to tak, jakby Krull żywił doń skrytą urazę. Ale to nie była uraza, po prostu Krull stał się w środku życia (przekroczył czterdziestkę) gorzki, jakby go niczym innym oprócz piołunu nigdy nie karmiono. A że się w takim odosobnieniu nic nie da ukryć i ludzie ze wszystkimi małostkami i cnotami stają się wnet przejrzyści jak szkło, Pirx pojął rychło, skąd brała się ta zadra w charakterze Krulla, w końcu wytrwałego, twardego nawet człowieka, jeśli miał za sobą ponad dziesięć lat służby pozaziemskiej. Otóż Krull został nie tym, kim chciał, ale kim musiał, ponieważ się do wymarzonego zawodu nie nadawał. A o tym, że nie kosmografem, lecz intelektronikiem chciał kiedyś zostać, przekonał się Pirx widząc, jak kategoryczny stawał się Krull w rozmowach z Masseną, jeśli tylko zeszło na tematy intelektroniczne („intelektralne” — mówił zresztą Krull, bo taki był żargon zawodowy).

Massenie brakło, niestety, wyrozumiałości, a może po prostu motywy Krulla nic go nie

obchodziły, dosyć, że kiedy tamten uparł się przy jakimś błędnym rozwiązaniu, nie ograniczał się do zaprzeczenia, ale z ołówkiem w ręku rozkładał Krulla na obie łopatki, krok po kroku budując matematyczny wywód, i kończył go taki zadowolony, jakby nie tyle racji własnej dowiódł, ile tego, że Krull jest zadufałym osłem. Ale to nie było prawdą. Nie był zadufały — był tylko nienormalnie wrażliwy jak właśnie ktoś, kto ambicję ma osadzoną w innym miejscu aniżeli zdolności.

Pirx, który był mimowolnym świadkiem takiej rozmowy — trudno zresztą, aby nim nie był, skoro zajmowali wspólnie czterdzieści metrów kwadratowych baraku, a dźwiękoszczelność przepierzeń była zupełną fikcją, wiedział, czym się to skończy. I rzeczywiście: Krull, który nie śmiał okazać Massenie, jak bardzo zaboląła go porażka, całą niechęć skupił na Pirxie, zresztą we właściwy sobie sposób. Poza okolicznościami, kiedy było to konieczne, przestał się do niego odzywać.

Wówczas już tylko Massena pozostał mu bliski — bo rzeczywiście można się było zaprzyjaźnić z tym czarnowłosym i jasnookim nerwowcem — ale Pirx miał zawsze trudności z nerwowcami, ponieważ w głębi ducha nie żywił do nich zaufania. Massenie zawsze coś było: kazał sobie zaglądać do gardła, twierdził, że nadchodzi zmiana, bo go w kościach łupie (żadna nie przyszła, ale wciąż ją przepowiadał), rzekomo cierpiał na bezsenność i co wieczora szukał ostentacyjnie pigułek, których bodaj nigdy nie zażywał — kładł je tylko na wszelki wypadek obok posłania, a rano tłumaczył Pirxowi, który, czytając do późna, doskonale słyszał jego chrapanie, że nawet nie zmrużył oka (w co, zdaje się, wierzył). Poza tym był to doskonały specjalista i błyskotliwy matematyk, z talentami organizatora, któremu poruczano bieżące programowanie automatycznej, więc bezludnej eksploracji. Jeden z takich programów wziął ze sobą dla opracowania „w wolnych chwilach”, a Krull cierpiał, bo Massena robił to, co do niego należało, bardzo szybko i dobrze, tak że naprawdę miał sporo wolnego czasu, brakło zatem podstaw do pretensji, że nie spełnia należycie swych obowiązków. Massena przydał im się więc tym bardziej, że — jakkolwiek było to paradoksalne — ta miniaturowa wyprawa planetologiczna nie liczyła ani jednego planetologa z prawdziwego zdarzenia, bo wszak i Krull nim nie był.

Tyleż podziwu co rozpaczy godny jest ów poziom komplikacji, do jakiego mogą, bez specjalnych wysiłków z czyjejkolwiek strony, dojść stosunki łączące trzech, w końcu dość normalnych, zwykłych ludzi, na takim skalnym pustkowiu, jakie przedstawiał południowy płaskowyż Joty Wodnika.

Była tam jeszcze jedna osoba, choć nieczłowiek — wspomniany Aniel, czyli Automat Nieliniowy, jeden z najnowszych modeli produkowanych na Ziemi dla badań o wysokim stopniu samodzielności. Massena był z nimi — w charakterze cybernetyka — jedynie przez anachronizm, ponieważ regulamin przewidywał, że gdzie jest automat, powinien być też ktoś, kto by go mógł w razie potrzeby naprawić. Regulamin jednak pochodził sprzed dziesięciu lat — jak wiadomo, nie zmieniają się one zbyt często — natomiast Aniel — jak mawiał nieraz sam Massena — raczej by jego mógł w razie potrzeby naprawić. Nie tylko z tej przyczyny, że jego niezawodność nie pozostawiała nic do życzenia, ale i dlatego ponieważ miał elementarne wiadomości lekarskie. Pirx dawno już spostrzegł, że człowieka często łatwiej jest poznać po jego stosunku do robotów aniżeli do innych ludzi. Jego pokolenie przyszło na świat, którego naturalną część tworzyły automaty, tak samo jak statki kosmiczne, ale sfera ta zachowała szczególny odcień, jakby nacechowany pozostałościami irracjonalizmu. Niektórym łatwiej przychodziło polubić zwykłą maszynę, ot — choćby własny samochód, niż maszynę myślącą. Okres szerokiego eksperymentatorstwa konstruktorów chylił się już ku końcowi — tak to przynajmniej wyglądało. Budowano tylko automaty dwu typów: wąsko wyspecjalizowane i uniwersalne. Jedynie mała grupa tych ostatnich była oblekana w kształty zbliżone do ludzkich, a i to tylko dlatego, ponieważ ze wszystkich wypróbowanych konstrukcja zapożyczona od natury okazała się najsprawniejsza, szczególnie w trudnych warunkach planetarnych bezdroży.

Inżynierowie byli niezbyt szczęśliwi, kiedy produkty ich zaczęły przejawiać taką spontaniczność, która nasuwała mimo woli myśl o życiu wewnętrznym. Powiadało się na ogół, że

automaty myślą, ale „nie mają osobowości”. Prawda, nikt nie słyszał o automacie, który by wpadał w gniew, zachwyty, śmiał się lub płakał; były zrównoważone doskonale, jak tego sobie życzyli konstruktorzy. Ponieważ jednak mózgi ich nie powstawały na taśmie montażowej, lecz w procesie powolnej hodowli monokryształów, z jej rozrzutem statystycznym nie do opanowania, mikroskopijne skądinąd przesunięcia molekuł powodowały takie różnice końcowe, że na dobrą sprawę nie istniały dwa identyczne automaty. A więc jednak indywidualności? Nie — odpowiadał cybernetyk — rezultaty procesu probabilistycznego; tak też myślał sobie Pirx jak każdy chyba, kto miał z nimi wiele do czynienia, kto całymi latami wyczuwał obok siebie ich milczącą, zawsze celową, zawsze logiczną krzątaninę. Zapewne, były wszystkie bardziej do siebie wzajem podobne aniżeli do ludzi, ale i one miały swoje narowy, predylekcje, a bywały i takie, które, wykonując rozkazy, praktykowały coś w rodzaju „biernego oporu” — objaw, który, jeśli się nasilał, kończył się generalnym remontem.

Pirx, i na pewno nie on jeden, miał wobec tych osobliwych maszyn — które tak dokładnie wykonywały polecenia i taką nieraz wykazywały przy tym inwencję — sumienie niezbyt czyste. Może datowało się to od czasu, kiedy dowodził „Koriolanem”, dość, że same podstawy sytuacji, w której człowiek stworzył myślenie poza sobą i uzależnił je od siebie, sam fundament takich stosunków uważał za nie całkiem uczciwy. Zapewne nie potrafiłby powiedzieć, co powodowało ów lekki niepokój, jakby świadomość niewyrównanego rachunku, fałszywie powziętej decyzji, czy może po prostu — choć to grubo powiedziane — jakiegoś, prawda, że zrzęcznie, ale jednak — popełnionego świństwa. Było przewrotne wyrafinowanie w owym rozsądnym umiarze, z jakim człowiek tchnął zdobytą o sobie samym wiedzę w zimne maszyny, pilnując, by miały tylko tyle duchowości, ile to niezbędne, bez szansy na stanie się konkurentem swego twórcy do łask świata. Maksyma Goethego: *In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister* — nabierała, w odniesieniu do zmyślnych konstruktorów, niespodziewanego posmaku pochwały, obracającej się w szydercze potępienie, bo nie siebie wszak postanowili ograniczyć, lecz swoje dzieła, i to z okrutną precyzją. Rzecz jasna, Pirx nie ważył się nigdy wypowiadać głośno takiej myśli, bo zdawał sobie sprawę z tego, jak śmiesznie by brzmiała; automaty nie swoją egzystencjalną sytuacją były upośledzone czy wyzyskiwane, rzecz stała się zarazem prostsza, moralnie trudniejsza do zaatakowania, ale i gorsza: ograniczono je, jeszcze nim powstały, na papierze kreślarskim.

W owym dniu, przedostatnim ich pobytu na planecie, prace były już właściwie zakończone. Gdy jednak przyszło do sprawdzania taśm z wynikami, okazało się, że jednej brakuje. Najpierw przeszukano pamięć maszynową, potem przetrząsnęto wszystkie schowki i szuflady, przy czym Krull dwukrotnie zlecił Pirxowi, aby dokładnie spenetrował własne rzeczy, co zakrawało na złośliwość, bo Pirx nie miał z brakującą taśmą w ogóle styczności i nie chowałby jej przecież w walizce. Pirxa aż język świerzbiał, by coś wreszcie odpowiedzieć, tym bardziej że dotąd zawsze kładł uszy po sobie, usprawiedliwiający w duchu szorstkie, obraźliwe nawet zachowanie Krulla. Jak umiał. Aniel i tym razem powściągnął ostrzejsze słowo — zamiast tego zauważył, że jeśli trzeba powtórzyć pomiary, chętnie zrobi to sam, wzięwszy Aniela za pomocnika.

Krull uznał jednak, że pomoc Pirxa zupełnie nie będzie Anielowi potrzebna, obarczyli więc robota aparatem, szpulami fotograficznymi i, założywszy mu do olstrów pasa odrzutowe patrony, wysłali go w par szczytową masywu podgórskiego.

Robot wyszedł o ósmej rano — Massena wyraził głośno przekonanie, że zrobi swoje do obiadu. Minęła jednak druga, trzecia, potem czwarta, zapadł wreszcie zmrok, Aniel zaś nie wracał.

Pirx siedział w kącie baraku pod kadmową lampą ścienną i czytał dokumentnie roztrzępaną, starą książkę, którą pożyczył jeszcze w Bazie od jakiegoś pilota, ale treść jej prawie doń nie dochodziła. Było mu niezbyt wygodnie. Żebrowana ścianka aluminiowa gniotła w plecy, a powietrze uciekło całkiem z poduszki nadymaka i czuł, jak w pośladki wpijają mu się przez gumowaną tkaninę ostre mutry konstrukcji. Mimo to nie zmieniał pozycji, ponieważ niewygodą jej dziwnie godziła się z rosnącym gniewem, jaki w nim wzbierał. Ani Krull, ani Massena jak gdyby nie dostrzegli dotąd nieobecności Aniela. Krull, który doprawdy nie był człowiekiem

dowcipnym ani też się na humor ni silił, nie wiadomo czemu od samego początku uparł się przy nazywaniu robota Aniołem albo nawet Żelaznym Aniołem, inaczej się do niego nie odzywał i ta w gruncie rzeczy zupełna bzdura tyle razy już irytowała Pirxa, że przez to jedno zniechęcił kosmografa. Massena miał do robota stosunek zawodowy: wszyscy intelektownicy wiedzą, a przynajmniej udają, że wiedzą, jakie to molekularne procesy i prądy wywołują takie, a nie inne reakcje czy odpowiedzi automatu, przez co wszelkie napomknienia o ich rzekomym psychizmie przygważdżają jako zupełne bzdury. Niemniej zachowywał się wobec Aniela jak lojalny mechanik wobec swego Diesla: nie dawał przeciążać, lubił za sprawność i dbał o niego, jak mógł.

O szóstej Pirx nie potrafił już wytrzymać w swym kącie, bo mu noga zdrętwiała, zaczął się więc przeciągać, aż kości trzeszczały, poruszać stopą i zginać nogę w kolanie, by przywrócić krążenie krwi, potem zaś puścił się na przechadzkę po przekątnej baraku, wiedząc dobrze, że niczym bardziej nie zdoła zirytować Krulla, zatopionego w podsumowywaniu obliczeń.

— Doprawdy, moglibyście tak nie hałasować! — rzekł wreszcie Krull jakby do nich obu, jakby nie wiedząc, że to Pirx chodzi, Massena bowiem ze słuchawkami na uszach bawił się jakąś audycją, rozwalony na fotelu pneumatycznym, ze śmiesznie rozmarzonym wyrazem twarzy. Pirx otworzył drzwi, którymi szarpnął silny wiatr zachodni i kiedy oczy przywykły trochę do ciemności, mając za plecami dygocącą w podmuchach blachę ściany, wpatrzył się w stronę, z której powinien był nadejść Aniel. Widział tylko nieliczne gwiazdy, drgające silnie w powietrzu, którego wysoko poczęte, nierówne wycie obejmowało mu głowę zimnym nurtem, wichrzyło włosy, a nozdrza i płuca aż rozdymało pod wiatr — musiał mieć ze czterdzieści metrów na sekundę. Stał tak, a gdy mu się zimno zrobiło, wrócił do baraku, gdzie Massena, ziewając, zdejmował z głowy słuchawki i palcami przeczesywał włosy, Krull zaś, zmarszczony, suchy, cierpliwie składał papiery w teczkach, postukując plikiem arkuszy, aby je wyrównać.

— Nie ma go! — powiedział Pirx i sam się zdziwił, tak to zabrzmiało — rzucił te słowa prawie jak wyzwanie. Oni zaś musieli dostrzec ich szczególny ton, bo Massena popatrzył bystro na Pirxa i zauważył:

— To nic. Trafi, choć ciemno, wróci na podczerwieni...

Pirx spojrział na niego, ale nic nie odpowiedział. Przechodząc obok Krulla podjął z krzesła pozostawioną książkę i, siadłszy w swoim kącie, udawał, że czyta. Wiatr wzmagął się. Zaokienne odgłosy narastały, wznosiły się do wycia, w pewnej chwili coś miękko pacnęło w ścianę, jakby niewielka gałąź; i znów mijały minuty milczenia. Massena, który najwyraźniej czekał na to, że Pirx, ofiarny jak zwykle, weźmie się do przygotowań kolacyjnych, wstał wreszcie i zabrał się do otwierania puszek z samogrzejącym patronem, uważnie wprzód odczytawszy nazwy na etykietkach, jakby spodziewał się znaleźć wśród zapasów jakiś nie odkryty dotąd przysmak. Pirxowi nie chciało się jeść. A właściwie nawet był głodny, ale nie ruszał się z miejsca. Z wolna zaczynała go brać niedobra, chłodna pasja, skierowana, Bóg raczy wiedzieć czemu, przeciw obu towarzyszom, którzy nie byli w końcu najgorsi z możliwych. Czy sądził, że coś przytrafiło się Anielowi? Że, dajmy na to, robot został zaatakowany przez „tajemniczych mieszkańców” planety, a więc przez stworzenia, w które nie wierzy nikt prócz bajarzy? Gdyby istniała choć jedna szansa na sto tysięcy, że planetę zamieszkują jakiegokolwiek istoty, na pewno nie siedzieliby tak, oddani swym drobnym sprawom, ale niezwłocznie podjęliby wszystkie kroki, przewidziane przez regulamin w punktach drugim, piątym, szóstym i siódmym osiemnastego paragrafu wraz z trzecią i czwartą sekcją przepisów postępowania specjalnego. Ale nie było takiej szansy; nie było żadnej. Już prędzej wybuchłoby niepewne słońce Joty. Tak, to było o wiele bardziej prawdopodobne. Więc co się mogło stać?

Pirx czuł, że spokój, wypełniający barak, który drżał w porywach wichury, jest pozorny. Nie tylko on udawał, że czyta i nie chce jeść kolacji, jakby o niej zapomniał. Tamci dwaj także prowadzili grę, tyleż trudną do określenia, co wyraźniejszą z upływem każdej minuty.

Aniel podlegał, by tak rzec, „w pionie” obsługi technicznej Massenie jako elektronikowi, a Krullowi znowuż, w charakterze „członka wyprawy”, jako dowódcy. Otóż ewentualny defekt mógł

być zawiniony przez każdego z nich. Może Massena czegoś nie dopatrył, a może Krull niewłaściwie wyznaczył trasę, jaką miał przejść Aniel? Ale to w końcu nie byłoby trudno wykryć i nie taka przyczyna powodowała rosnącą sztuczność powszechnego milczenia.

Krull od samego początku jakby umyślnie pomiatał robotem, bo i przezwiał go w sposób godny sztubaka, i nieraz wydawał mu polecenia, od jakich tamci się powstrzymywali, choćby dlatego, że uniwersalny automat nie jest lokajem. A robił to pewnie dlatego, że przez Aniela usiłował nieudolnie, ale uporczywie dosięgnąć Massenę, którego wprost nie ważył się zaczepiać.

Odbывała się teraz licytacja nerwów i ten, kto pierwszy wyjawiałby niepokój o losy Aniela, przyznałby się jak gdyby do przegranej. Pirx czuł zresztą, że sam został wciągnięty w ową milczącą rozgrywkę, tak głupią i zarazem tak w tej chwili napiętą. Zastanowił się, co on sam zrobiłby, gdyby był dowódcą grupy. Teraz pewno niewiele, bo w taką noc nie można było wyruszyć na poszukiwania. Tak czy owak należało czekać do rana, najwyżej można by spróbować radiołącności z minimalną zresztą szansą sukcesu, ponieważ zasięg fal ultrakrótkich był w nieprzejrzywym terenie górskim niewielki. Dotąd nigdy go jeszcze nie posyłali samego, choć tego nie zabraniał, obwarowywał podobne przedsięwzięcie licznymi paragrafami, pełnymi zastrzeżeń. Zresztą pal diabli regulamin! Pirx uważał, że Massena mógł, zamiast w irytujący sposób wydrapywać resztki przypalonej konserwy z puszki, spróbować jednak radiowezwania. Zastanawiał się, jakby to wyglądało, gdyby on sam to zrobił. Coś w końcu musiało się stać. Czy robot może złamać nogę? Nigdy o czymś takim nie słyszał.

Wstał, podszedł do stołu i czując na sobie ukradkowe, niby to obojętne spojrzenia tamtych, uważnie obejrzał mapę, na której rano Krull sam wykreślił Anielom marszrutę. Czy wyglądało na to, że kontroluje dowódcę? Podniósł nagle głowę, spotkał oczy Krulla, który chciał mu coś powiedzieć, bo najwyraźniej otwierał już usta. Ale kiedy zimny i ciężki wzrok Pirxa trafił go, tylko odchrząknął i, przygarbiwszy się, dalej sortował swoje papiery. Musiał mu Pirx dobrze zaświecić oczami, nie umyślnie jednak, a tylko dlatego, że w podobnych chwilach budziło się w nim coś, co zjednywało mu na pokładzie posłuch i respekt podszyty niepokojem.

Odłożył mapę. Marszruta podchodziła tylko do wielkiej ściany skalnej z trzema podciętymi urwiskami, ale wyznaczona droga omijała je. Czy robot mógł nie wykonać zadania? To było niemożliwe.

— Ale można przecież zwichnąć nogę nawet w byle rozpadlinie! — pomyślał. Nie, to nonsens. Robot, taki jak Aniel, wytrzyma upadek i z czterdziestu metrów, nie z takich opresji wychodzą cało, mają coś lepszego od kruchych kości. Więc co się stało, u licha?

Wyprostował się i ze swej okazałej wysokości spojrzał najpierw na Massenę, który krzywił się i dmuchał, pijąc zbyt gorącą herbatę, potem na Krulla, by wreszcie, odwróciwszy się ostentacyjnie, wyjść do malutkiej sypialni, gdzie zbyt gwałtownie wyszarpnął swoje składane łóżko ze ściany i, zrzuciwszy z siebie czterema wprawnymi ruchami ubranie, wpełznął do śpiwora. Wiedział, że niełatwo przyjdzie mu zasnąć, ale miał dosyć na dziś towarzystwa tamtych. Kto wie zresztą, czy gdyby został z nimi dłużej, nie nagadałby im czegoś, na pewno niepotrzebnie, bo i tak mieli się jutro rozstać na pokładzie Ampere'a; z chwilą gdy wejdą na statek, przestanie istnieć grupa operacyjna Joty Wodnika.

Zaczynało mu się już zwidywać to i owo, jakieś w półsrebrne smużki ściekały pod powiekami, puszyste jak jaskry światełka kłoniły do snu, przewrócił jeszcze poduszkę na drugą, chłodniejszą stronę — i naraz jakby namacalną i bliską zobaczył postać Aniela — tak jak widział go po raz ostatni w tym dniu, kilka minut przed ósmą. Massena ładował mu właśnie patrony odrzutowe, dzięki którym można przez kilka minut szybować w powietrzu, jak gdyby wbrew grawitacji; urządzenia tego używali zresztą wszyscy, rozumie się w okolicznościach przewidzianych przez wszechstronnie surowy regulamin. Dziwna była ta scena, jak zawsze, gdy człowiek pomagał w czymkolwiek robotowi, bo normalnie działa się akurat na odwrót, Aniel nie mógł jednak dosięgnąć ręką olstrów pod wyładowanym jak garb plecakiem. Bo też dźwigał ładunek dostateczny dla dwu ludzi. Pewno, że nie działa mu się krzywda, w końcu był tylko maszyną, rozwijał w razie potrzeby

dzielność szesnastu koni mechanicznych dzięki mikroskopijnej baterii strontu, która zastępowała mu serce. Teraz jednak, pewno wskutek przedseennego zamroczenia, wszystko to razem bardzo się Pirxowi nie widziało, był całą duszą po stronie milkliwego Aniela, skłonny uwierzyć, że tamten, właśnie jak on sam, wcale nie jest spokojny z natury, a wydaje się taki tylko dlatego, ponieważ uznał, że tak właśnie trzeba. Przed samym zaśnięciem myślał sobie coś jeszcze. Były to owe najbardziej intymne rojenia, jakim człowiek w ogóle może się oddawać, pewno dlatego, że po przebudzeniu zwykle o nich nie pamięta i owa jutrzejsza niepamięć rozgrzesza dziś ze wszystkiego. Wyobraził sobie bez słów tę bajkową, mityczną sytuację, która — od dawna wiedział o tym jak wszyscy — nigdy nie mogłaby się ziścić: bunt robotów. I czując głuchą, milczącą pewnością, że znalazłby się wtedy po ich stronie, zasnął natychmiast, jakby oczyszczony.

Obudził się wcześniej i nie wiadomo czemu pierwsze, co pomyślał, było, że ustał wiatr. Potem przypomniał sobie Aniela i własne rojenia z nocy, przed snem; zmieszało go trochę to, że coś podobnego mogło mu w ogóle przyjść do głowy. Leżał jeszcze dobrą chwilę, aż doszedł do przeświadczenia nieco uspokajającego, że te przedsenne, chwiejne obrazy naszły go wprawdzie nie na jawie, ale — w przeciwieństwie do snu, który śni się sam — wymagały nieznacznej tylko, na wpół świadomej pomocy z jego strony. Takie psychologiczne roztrząsania były mu obce, więc z kolei zdziwił się, czemu zaprzęta sobie nimi głowę, podniósł się lekko na łokciu i nasłuchiwał; panowała zupełna cisza. Odsunął zasłonę małego okienka tuż przy głowie. Przez mętną szybkę zobaczył mrok przedświt i wtedy dopiero pojął, że trzeba będzie iść w góry. Zeskoczył z łóżka, by zajrzeć jeszcze do wspólnego pomieszczenia. Robota nie było. Tamci już wstawali. Przy śniadaniu Krull powiedział mimochodem, jakby to jeszcze wczoraj zostało postanowione, że muszą wyruszyć zaraz, bo pod wieczór wylądaje Ampere, a składanie baraku i pakowanie rzeczy zajmie co najmniej półtorej godziny, jeśli nie więcej. A powiedział to umyślnie chyba tak, aby nie było jasne, czy mają iść głównie przez brak danych, czy przez Aniela.

Pirx jadł za trzech, ale w ogóle się nie odzywał. Kiedy tamci dopijali jeszcze kawę, wstał i, poszperawszy w swoim worku, wyjął zeń zwój białej liny nylonowej, młotek i haki. Po namyśle dorzucił jeszcze do plecaka swoje wspinaczkowe pantofle — na wszelki wypadek.

Wyszli na zewnątrz, gdy świt ledwo wstawał. Gwiazd nie było już widać na niebie pozbawionym barwy. Ciężka, fioletowa szarość na ziemi, twarzach, w samym powietrzu, była nieruchoma i mroźna, góry na północy stanowiły czarną masę, zastygłą w ciemności, południowy grzbiet, bliższy, stał jak nadtopiona maska bez rysunku, z jaskrawym pasem pomarańczowego światła nad szczytami. Ten blask, odległy i nierzeczywisty, utrwał w powietrzu skłębione kity oddechów, bijące z ust trzech ludzi. Chociaż atmosfera była rzadsza od ziemskiej, oddychało się dobrze. Przystanęli na końcu równiny. Ostatki trawy, brudnej w zmieszonym półmroku cofającej się nocy i napelzającego zza gór dnia, znikły. Przed nimi rozpościerała się morena lodowcowa, zwały głazów majaczyły jak widziane przez płynącą wodę. Kilkaset kroków wyżej pojawił się wiatr; zaskakiwał krótkimi porywami. Szli, przekraczając lekko mniejsze głazy, wstępowali na wielkie, czasem płyta skały stuknęła sucho o drugą, czasem ziarno żwiru strzeliło spod buta i toczyło się po zboczu w rozgonionych pogłosach, jakby ktoś się tam budził. Czasem zaskrzyphiał pas naramienny, zgrzytnęło okucie; owe skąpe dźwięki nadawały ich marszowi charakter zgody i sprawności, jakby byli ozywioną jednym duchem ekipą alpinistów. Pirx szedł za Masseną jako drugi. Było wciąż jeszcze zbyt ciemno, aby dojrzeć rzeźbę odległych ścian; wpatrywał się w dalekie plany z wyczeraniem, raz i drugi nie dość uważnie stawiana noga obsunęła się po głazie, mimo to dalej powierzył całą uwagę wypatrującym oczom, jakby chciał uciec nie tylko od pobliza, ale i od siebie, od wszelkich myśli. Nie myślał wcale o Aniela, a tylko uczestniczył wzrokiem w tej krainie bezwiecznych skał, doskonałej obojętności, jedynie przez wyobraźnię ludzką przystrajanej w znaczenie grozy i wyzwania.

Planeta miała silnie wyrażone pory roku. Przybyli u schyłku lata, a teraz jesień górską, cała w czerwieni i żółci, dogasała już w dolinach, lecz jakby na przekór masom liści, pędzących w pianie górskich potoków, słońce wciąż jeszcze było ciepłe i w bezobłoczne dni przypiekało nawet na tym

plaskowyzu. Tylko gęstniejące mgły zwiastowały nadejście śniegu i mrozów. Ale wtedy na planecie nie miało już być nikogo; i owa przysła, w biel obrócona, doskonała pustka wydała się nagle Pirxowi czymś nad wszystko godnym pożądania.

Naocznie dojrzeć, że ciemność rzednieje, było nie sposób, a jednak z każdą chwilą wzrok odkrywał nowe szczegóły krajobrazu. Niebo już całkiem pobladło, ani z nocy, ani z dnia, żadnych zórz w tym dniu rozpoczynającym się tak czysto i tak spokojnie, jakby cały był zamknięty w kuli ze szkła przechłodzonego. Nieco wyżej przeszli przez pasmo mlecznej mgły, czepiającej się wiotkimi skrętami gruntu, a kiedy z niego wyszli, Pirx zobaczył bezsłoneczny jeszcze, ale w białym świtanu cel drogi. Było nim ramię skalne, dochodzące do głównego łańcucha górskiego, prawie pod miejscem, gdzie, kilkaset metrów wyżej, czerniał dwugłowy szczyt, najwyższy ze wszystkich. Na bułowatym rozszerzeniu owej grani miał Aniel dokonać ostatnich pomiarów. Droga w obie strony była łatwa — żadnych niespodzianek, szczelin, nic — prócz jednostajnej szarości osypiska, gdzieniegdzie cętkowanej pisklęcą żółtą pleśnią. Pirs, wciąż stąpając lekko z jednych klekocących gładów na drugie, patrzył na czarną zupełnie ścianę na niebie i może dlatego, że wolał nie myśleć o niczym innym, jął sobie wyobrażać, że idzie na zwykłą wspinaczkę, jak na Ziemi. Od razu inaczej zobaczył skały — naprawdę można było pomyśleć, że celem ich jest zdobycie szczytu, skoro idą prosto ku grzbietowi ciężko wynurzającemu się z masy piargów. Dochodził do ściany w jednej trzeciej jej wysokości i kończył się tam serią zaklinowanych płyt, odtąd zaś olbrzymia płaszczyzna szła już w górę jak poderwana do martwego lotu; jakieś sto metrów wyżej ścianę przerywał inny gatunek skały — to diabaz, czerwony, jaśniejszy od granitów — wydostawał się na powierzchnię i smugą niejednakowej szerokości przecinał skosem całą flankę urwiska.

Jakiś czas szczyt wyzywał oczy Pirxa swą patetyczną linią, lecz w miarę jak szli ku niemu, stało się z nim to, co zwykle dzieje się z górą: ginął, rozpadły w gwałtownych skrótach perspektywy na poszczególne, już wzajem przesłaniające się partie, przy czym podnóże traciło dotychczasową płaskość, wysuwało filary, ukazywało całe bogactwo uskoków, półek, ślepo kończących się kominów, chaos starych pęknięć, a nad tym bezładem gruzłowatych spięrzeń przez jakiś czas, ozłocony pierwszym słońcem, wystygły i dziwnie łagodny, jaśniał sam wierzchołek, aż i on znikł wreszcie, zasłonięty; Pirx nie mógł już oczu oderwać od kolosa — tak, nawet na Ziemi byłaby to ściana godna uwagi i wysiłku, szczególnie przez ów brutalnie występujący wał diabazów. Od niego do szczytu, oblanego złotem słonecznym, droga zdawała się krótka i łatwa, problemem były jednak przewieszki, zwłaszcza największa ze spodnią częścią, lśniąca od wilgoci czy lodu, czarniawa raczej niż czerwona, jak skrzepła krrew.

Pirx puścił wodze fantazji. Mogła to przecież być nie zerwą anonimowego szczytu pod obcym słońcem, ale góra wslawiona atakami i porażkami, taka, która budzi w alpiniście poczucie odrębności, podobne do tego, jakie odczuwa się wobec dobrze znanej twarzy, gdzie każda zmarszczka i szrama ma swoją historię. Drobne, na granicy widzialności, wężyki pęknięć, ciemne nitki półek, płytkie rysy mogły stanowić najwyższy punkt, osiągnięty w którymś tam z rzędu obleżeniu, miejsca długich postojów, milczących narad, gwałtownych ataków i ponurych odwrotów, klęsk, poniesionych mimo zastosowania wszelkich chwytów taktycznych i technicznych — góra tak już przez to zespolona z losami ludzkimi, że każdy wspinacz, którego pokonała, wracał do niej raz i jeszcze raz, z tym samym zapasem wiary i nadziei w zwycięstwo, i przymierzał podczas kolejnego szturmego wynoszoną w pamięci marszrutę do martwej rzeźby skalnej. Mogłaby ta ściana mieć bogatą historię przejść okólnych, rozmaitych ich wariantów z kroniką sukcesów i ofiar, fotografie poznaczone drobnymi kropkami szlaków i krzyżykami oznaczającymi najwyższe osiągnięte miejsca — Pirx potrafił to sobie przedstawić z największą łatwością, co więcej: wydawało mu się dziwne, że tak nie jest.

Massena szedł przed nim lekko zgarbiony, w świetle coraz ostrzejszym, które niweczyło wszelką iluzję „łatwych miejsc” ściany — to złudzenie rzekomej lekkości, braku oporów i partii śmiertelnego zagrożenia wywoływała błękitnawa mgielka odległości, tak spokojnie obejmująca każdy fragment połyskującej skały Dzień, pełny i czysty, dotarł już do nich, rzucali długie,

chwiejące się cienie pod szczytem ospiskowego stożka. Ściana zasilą go dwoma wielkimi zlebami, pełnymi Jeszcze nocy; martwy dopływ piargu spiętrzał się tam i nił nagle, pochłonięty doskonałą czernią.

Od dawna nie można już było ogarnąć masywu jednym spojrzeniem. Proporcje przemieniły się, ściana, z odległości podobna do każdej innej, ukazywała niepowtarzalną indywidualność ukształtowania, olbrzymiejac wysuwał się ku nim potężny filar, który sponad rozsypanej talii płaskich płyt wystrzelał w górę, poszerzał się, rósł, aż odepchnął i zasłonił wszystko inne i został sam, w zimnym, ponurym cieniu miejsc nigdy nie oświetlonych. Weszli właśnie na płat wiecznego śniegu, pokryty odpryskami lecących z wysokości kamieni, kiedy Massena zwolnił kroku, a potem przystanął, jakby nasłuchiwał. Pirx, który dopędził go pierwszy, zrozumiał — tamten pokazał mu palcem na własne ucho, w którym tkwiła oliwka mikrofonu.

— Był tu?

Tamten tylko skinął głową i zbliżył ku brudnej, stwardniałej powierzchni śniegu metalowy pręcik czujnika. Podeszwy butów Aniela przesycone były izotopem radioaktywnym i czujnik wykrył jego ślad. Robot musiał przejść tędy poprzedniego dnia, nie wiadomo tylko — idąc w górę czy już wracając. W każdym razie odnaleźli jego trasę. Od tego miejsca szli już wolniej.

Wydawało się, że ciemny filar stoi tuż, ale Pirx wiedział, jak myląca jest ocena odległości w górach. Jakoż szli i szli, teraz już ponad śniegiem i głazami rumowiska, starą, obło opiłowaną grańką, i Pirxowi zdawało się, że w zupełnej ciszy dochodzi go popiskiwanie słuchawek Masseny, ale to było chyba niemożliwe. Tamten kilkakrotnie zatrzymał się, poruszał końcem aluminiowego pręta, obniżał go dotykając niemal skały, rysował nim w powietrzu pętle i ósemki, niby różdżkarz, aż, odnalazszy trop, ruszał dalej. Byli już niedaleko miejsca, w którym Aniel miał dokonać pomiarów; Pirx uważnie przetrząsał wzrokiem otoczenie, jakby szukał śladów przejścia zaginionego.

Ale skała była pusta. Najłatwiejszą część drogi mieli poza sobą — przed nimi wznosiły się rozmaicie nachylone płyty, sterzące spod pięty filaru; był to jak gdyby umyślny, gigantyczny przekrój skalnych warstw i częściowo obnażone wnętrza kamiennej zerwy ukazywało najstarsze formacje górskiego rdzenia, miejscami strzaskane, bo dociśnięte straszliwą masą całej, na kilometry wydzwigniętej w niebo, ściany. Jeszcze sto, jeszcze pięćdziesiąt kroków — dalej nie można było iść.

Massena chodził wkoło poruszając przed sobą opuszczonym końcem czujnika, z przymrużonymi oczami, ciemne okulary odsunął na czoło, z pozbawioną wyrazu twarzą krążył tak, niby bez ładu i składu, aż zatrzymał się o kilkanaście metrów od nich i powiedział:

— Był tu. Dosyć długo.

— Skąd wiesz? — spytał Pirx.

Tamten wzruszył ramionami, wyjął oliwkę z ucha i podał ją Pirxowi, dyndającą na cienkiej nitce przewodu razem z prętem czujnika. Pirx sam z kolei usłyszał poćwierkiwania i popiskiwanie, rozlewające się chwilami w beczące tony. Na skale nie było żadnych odcisków, śladów, nic — tylko ów ton, wypełniający czaszkę jadowitym pobrzękiem wyjawiał, że Aniel musiał w samej rzeczy długo krzątać się w tym miejscu, skoro każdy niemal metr kamienia zdradzał jego przejście. Powoli z pozornego chaosu Pirx zdołał nawet wyłowić jakiś sens — Aniel przyszedł widać tą samą drogą co oni, rozstawił trójnóg aparatu i, robiąc namiary i zdjęcia, obracając kamerą, musiał chodzić wokół niej, potem kilkakrotnie ją przesunął, szukając dogodniejszych punktów obserwacyjnych. Tak, układało się to w zrozumiałą całość. Ale co się stało potem?

Pirx jął obchodzić to miejsce coraz szerszymi kręgami, po spirali, aby odnaleźć trop wychodzący odśrodkowo, ślady marszu powrotnego, ale nie było ich. Zupełnie jakby Aniel wrócił dokładnie po własnym śladzie, co wyglądało jednak całkiem nieprawdopodobnie. Nie miał przecież wrażliwego na radioaktywność czujnika, nie mógł zatem wiedzieć, którędy przyszedł, z dokładnością do centymetrów; Krull mówił coś do Masseny, ale Pirx nie zważał na nich, wciąż krążąc, aż nagle wydało mu się, że słuchawka odezwała się raz jeden, krótko, lecz wyraźnie. Cofał

się teraz niemal milimetr po milimetrze. Tak, to było tu. Rozejrzał się, otwierając oczy, które przymrużył, aby całą uwagę skupić na śpiewie czujnika. Odnaleziony ślad znajdował się pod ścianą, jakby robot nie zawrócił w stronę obozu, lecz, przeciwnie, ruszył ku pionowemu filarowi.

To było dziwne. Czego mógł tam chcieć?

Pirx szukał następnego śladu, głazy milczały jednak, a musiał badać wszystkie potraskane płyty, spiętrzone u nasady filaru; trudno było przewidzieć, na której Aniel postawił stopę w kolejnym kroku. Wreszcie znalazł ślad, oddalony od poprzedniego o pięć metrów; czyżby Aniel skoczył aż tak daleko? Ale po co? Znowu cofnął się i po chwili odkrył opuszczony ślad — robot po prostu przeskakiwał z kamienia na kamień. Pirx, pochylony, płynnie poruszając prętem, drgnął nagle, bo w głowie jakby eksplodował nabój wybuchowy, takim tonem odezwały się słuchawki, aż się skrzywił — dźwięk był prawie bolesny. Spojrzał za tafel głazu i osłupiał. Wklinowany między dwa kamienie, ukryty na dnie naturalnej, płytkiej studzienki, jaką tworzyły, spoczywał nie uszkodzony aparat wraz z kamerą fotograficzną. Po drugiej stronie stał, oparty o głaz, plecak Aniela z rozpiętymi pasami, ale porządnie spakowany. Zawołał tamtych. Przybiegli i zdziwili się, jak on, tym znaleziskiem. Krull sprawdził kasety — wyglądało na to, że wszystkie pomiary zostały zrobione. Nie musieli powtarzać pracy. Pozostawało tylko wyjaśnienie losu Aniela. Massena przyłożył ręce do ust i zawołał go kilkakrotnie, aż dalekie, przeciągłe echo wróciło od skał. (Pirx aż drgnął, bo tak mu zabrzmiało to wołanie, jakby szukali człowieka zaginionego w górach. Intellektonik wyjął po chwili z kieszeni płaską kasetę nadajnika, przysiadł i zaczął wywoływać robota, nadając jego sygnał, lecz widać było, że robi to raczej z obowiązku niż z przekonania. Tymczasem Pirx wciąż szukał dalszych śladów. Wyglądało na to, że robot dość długo krążył po owym miejscu — tyle ulotnych piśnień wydawała słuchawka i nadmiar ów do reszty zdeorientował Pirxa. Nareszcie wyznaczył z grubsza zewnętrzne granice okręgu, którego robot na pewno nie przekroczył i obchodząc je systematycznie liczył na to, że znajdzie nowy ślad, który wskaże kierunek dalszych poszukiwań.

Po pełnym okrążeniu wrócił pod filar. Między skalnym występem, na którym stał, a wznoszącą się, całkiem już pionową ścianą, ziała około półtorametrowa szczelina; dno jej pokrywał drobnymi, ostrokanciastymi odłamkami odstrzelony z wysokości piarg. Pirx sumiennie zbadał i to miejsce, ale słuchawka milczała. Stał wobec zagadki zupełnie niezrozumiałej: wyglądało, jakby Aniel dosłownie rozpląnął się w powietrzu. Tamci naradzali się półgłosem za jego plecami, a on podniósł z wolna głowę i po raz pierwszy z takiej bliskości spojrzął na wstępujący w górę filar. Niezwykła była siła wyzwania, jaką czuł w kamiennym spokoju ściany; a właściwie nie było to wyzwanie, lecz coś podobniejszego raczej do wyciągniętej otwarcie ręki — z pojawiającą się natychmiast pewnością, że trzeba ją przyjąć, że to jest początek drogi, na którą musi się wejść. Zupełnie odruchowo szukał oczami pierwszych chwytów; były pewne. Jednym długim, obliczonym krokiem można było przekroczyć szczelinę i stanąć od razu na małym, lecz dobrym stopniu; po owym rozkroku należało bez żadnych wątpliwości ruszyć skosem, wzdłuż prawdziwie geometrycznego pęknięcia, pogłębiającego się kilka metrów wyżej w kształt płytkiego kominka. Nie wiedząc właściwie, po co to robi, Pirx podniósł czujnik i wychyliwszy się, jak daleko mógł, zbliżył go do owego kamiennego stopnia po drugiej stronie szczeliny. Słuchawka odezwała się. Pirs powtórzył dla pewności tę operację, balansując z trudem, by nie stracić równowagi — tak bardzo musiał się wychylić w pustkę — i znowu usłyszał krótki pisk. Teraz nie miał już wątpliwości. Wrócił do tamtych.

— On poszedł w górę — powiedział spokojnie, wskazując na filar. Krull zdawał się nie rozumieć, a Massena powtórzył:

— W górę poszedł? Jak to? Po co w górę?

— Nie wiem. Tam jest ślad — odparł z pozorną obojętnością Pirx. Massena skłonny był sądzić, że Pirx się omylił, ale zaraz sam przekonał się, że to jednak prawda. Aniel jednym, długim krokiem przeprawił się najwidoczniej ponad szczeliną i poszedł wzdłuż odpękniętego częściowo, kamiennego zwału — na filar. Zapanowała konsternacja. Krull oświadczył, że pomiary zostały

wykonane, a robot, widocznie wskutek jakiegoś defektu, „rozprogramował się”; Massena obstawał przy tym, że to niemożliwe, przecież zostawił wszystkie aparaty i plecak, zupełnie jakby przygotowywał się planowo do trudnej wspinaczki, więc musiało zajść coś, co go do niej skłoniło.

Pirx milczał. Postanowił już w duchu, że pójdzie na filar, choćby nie miał z nim iść żaden z towarzyszy; Krull nie mógłby i tak, bo rzecz wymagała kwalifikacji alpinistycznych, i to nie byle jakich. Od Masseny słyszał przedtem, że chodzi sporo i podobno niezgorzej znał się na technikach hakowych; kiedy więc tamci zamilkli, powiedział po prostu, że zamierza iść — czy Massena gotów jest mu towarzyszyć?

Krull natychmiast zaoponował. Regulamin zakazuje narażania się na niebezpieczeństwo; po południu przyleci po nich Ampere; muszą przedtem złożyć barak i spakować się; pomiary zostały wykonane; robot najwyraźniej uległ jakiejś awarii, należy więc po prostu uznać, że zaginął, to znaczy wyjaśnić okoliczności w końcowym sprawozdaniu.

— Czy to znaczy, że mamy go tu zostawić i odlecieć? — spytał Pirx.

Jego spokój zdawał się drażnić Krulla, który, powściągnąwszy się z widocznym wysiłkiem, odparł, że w sprawozdaniu przedstawi się dokładnie wypadki oraz opinie członków grupy wraz z najbardziej prawdopodobnym wnioskiem: uszkodzenia mnestronów pamięciowych lub kierunkowego obwodu motywacyjnego albo desynchronizacja...

Massena zauważył, że jedno, drugie ani trzecie nie jest możliwe, ponieważ Aniel nie ma w ogóle żadnych układów mnestronów, a tylko jednorodny, monokrystaliczny układ, wyhodowany molekularnie z przechłodzonych roztworów diamagnetycznych, śladowo zapłodnionych pierwiastkami izotopowymi...

Najoczywiściej chciał pognać Krulla, wykazując mu, że mówi o rzeczach, na których w ogóle się nie zna; Pirx przestał ich słuchać. Odwrócony plecami, ponownie zmierzył okiem stopę filaru, ale już inaczej niż przedtem — wyobrażone stało się realnym i jakkolwiek było mu z tym trochę niezręcznie, Czuł jawną satysfakcję, że będzie się mógł z tą górą spróbować.

Massena postanowił iść z Pirxem, być może, aby się w ten sposób ostatecznie przeciwstawić Krullowi. Pirxa dochodziło piąte przez dziesiąte z tego, co mówił: że zagadkę należy koniecznie wyjaśnić, bo jeśli po prostu wróca, to, być może, przeoczone zostanie jakieś równie ważne co tajemnicze zjawisko, które wywołało tak nieoczekiwaną reakcję robota i gdyby było tylko pięć szans na sto, że takie zjawisko zaszło, usprawiedliwia to całkowicie podjęcie ryzyka wspinaczki.

Krull, to należało przyznać, potrafił przyjąć przegraną i nie tracił już więcej słów. Zapanowało milczenie. Massena zaczął zdejmować z pleców aparaty, a Pirx, który tymczasem przyszykował już swoją linę, młotek, haki i zmienił ciężkie buty na pantofle, zerkał na niego ukradkiem. Massena był trochę zdenerwowany; Pirx widział to. Nie tyle sprzeczkę z Krullem — rzecz prosta, ile tym, że może w nie bardzo przemyślany sposób wpędził się sam w sytuację, z której nie miał już wyjścia. Pirx pomyślał, że Massena, gdyby mu zaproponować pozostanie, kto wie, czyby na to nie przystał, chociaż czynnik podrażnionej ambicji był nie do obliczenia. Nie mówił jednak nic, bo chociaż wspinaczka zapowiadała się u początku łatwo, nie wiadomo było, co czeka ich w ścianie wyżej, tam zwłaszcza, gdzie jej sporą część przesłaniały przewieszki. Przecież nie wpenetrował nawet ściany przez lornetkę, bo nie brał pod uwagę takiej eskapady. A jednak wziął linę i haki — po co? Zamiast analizować te sprzeczności, stał i czekał na Massenę. Potem ruszyli bez pośpiechu do podnóża skały.

— Pójdę pierwszy — powiedział Pirx — na razie na całą linę; potem się zobaczy.

Massena skinął głową. Pirx odwrócił się raz jeszcze aby zobaczyć, co robi Krull, z którym rozstali się be: słowa. Stał tam, gdzie go zostawili, przy porzuconych plecakach. Byli już tak wysoko, że spoza północnych grzbietów górskich oliwkową plamą wychynał kraj obraz dalekich nizin. Dół piarzystego osypiska spoczywał jeszcze w cieniu, tylko szczyty jaśniały oślepiająco i blask ów rozproszoną aureolą wchodził w szczyty grani, królującej nad nimi wysoko w niebie.

Pirx zrobił duży krok, stopa znalazła występ, dźwignął się i poszedł lekko w górę. Pierwsze metry był; naprawdę łatwe. Posuwał się miarowo, jakby leniwie tuż przed oczami przesuwaly się

chropawe warstwy skały, nierówne, z zakłębieniami ciemniejszego koloru. Opierał się, podciągał ciało, przesuwając w górę, czując nieruchome, mroźne tchnienie nocy, promieniując z calizny. Serce uderzało nieco szybciej, ale oddycha swobodnie i dobrze mu było z pewnym rozgrzaniem jakie przyniosła praca mięśni. Popuszczana z dołu lina szła za nim, w czystym powietrzu jej szmer rozlega się jakby powiększony, gdy tarła o skałę — wreszcie nim się skończyła, Pirx znalazł dobre miejsce dla asekuracji; kogoś innego prowadziłby z lotnej, ale wolał wprawdzie przekonać się, co też wart jest Massena. Stał wklonowany w szczelinę, która szła ukośnie przez cały filar, i mógł, czekając na Massenę, przypatrzeć się wielkiemu kominowi, który omijali, wznosząc się równolegle do niego — rozszerzał się tu właśnie na kształt szarego kamieniospadu, tworząc amfiteatralne wklębnienie zbocza; z dołu wyglądało to miejsce zupełnie nieciekawie, płasko, teraz dopiero wystąpiło bogatą rzeźbą w całej swej okazałości. Pirx tak doskonale czuł się tu sam, że jakby ocknął się, kiedy zobaczył obok Massenę; zaraz też ruszył dalej. Tak się to powtarzało, rytmicznie i w spokoju, na każdym następnym stanowisku sprawdzał czujnikiem, czy sygnał w słuchawce zaświadczy o obecności Aniela — tylko raz jeden zgubił go i musiał wycofać się z łatwego kominka, bo tamten przetraversował to miejsce; nie był przecież wspinaczem, mimo to Pirxowi łatwo przychodziło odgadywanie wszystkich jego kolejnych decyzji, tak — chciałoby się powiedzieć — konieczna, tak logiczna była ta droga w skale, umożliwiająca najszybsze zdobywanie wysokości. W każdym razie pewne było, że Aniel naprawdę poszedł na wspinaczkę. Pirx nawet przez chwilę nie zastanawiał się, czemu to zrobił. Umiał zakazać sobie jałowej spekulacji. Powoli poznawał przeciwnika — zarazem zaś pozornie zapomniane sposoby i chwyt, ocknąwszy się w pamięci, podpowiadały nieomylnie, co i kiedy robić; nawet to, że musiał dosyć często oswobadzać jedną rękę, aby poszukać czujnikiem radioaktywnego śladu, nie sprawiało mu żadnego kłopotu. Raz, sponad odpęknętego głazu, który siedział jednak jak zamurowany, rzucił okiem w dół. Byli wcale wysoko, chociaż szli niby wolno, Krull stał się już małą plamką zielonkawego kombinezonu na płaskiej szarości osypiska, nie od razu dostrzegł go na dnie tej powietrznej studni, która otwierała się u stóp.

Dalej był ładny, mały trawers; robiło się trudniej, ale i on odzyskiwał z każdą chwilą dawno nie praktykowaną umiejętność, do tego stopnia, że chwilami lepiej się było zdawać na instynkt ciała, aniżeli świadomie rozważać wybór chwytów; a o tym, że stało się trudniej, przekonała go pewna sekunda, gdy, jak poprzednio, chciał uwolnić prawą rękę, by ująć zwisający z pasa czujnik — i nie mógł tego zrobić. Miał tylko jeden chwyt dla lewicy i coś bardzo niewyraźnego pod czubkiem prawego pantofla; odsunąwszy się, jak mógł, od skały, z tego dystansu szukał oparcia dla drugiej stopy, ale go nie było. Zrezygnował więc z czujnika, bo wyżej zapowiadała się jakby mała półeczka.

Co prawda była pokryta lodowym szklivem i pochylona ku przepaści, ale w jednym miejscu lód został zerwany z kamienia jakby silnym ciosem. Pantofel Pirxa nigdy by tego nie dokonał — przyszło mu do głowy, że to był but Aniela, robot ważył przecież około ćwierć tony. Massena, który szedł dotąd całkiem dobrze, teraz jakoś zwlekał.

Byli już w górnej partii filaru. Skała, nadal chropawa, zaczynała powoli, a przez to jak gdyby podstępnie odpychać, coraz wyraźniej przewieszona i bez uczciwych zaklinowań nie dałoby się tak iść; kilka metrów wyżej szczelina, do tego miejsca wyraźna, zasklepiła się, Pirx miał jeszcze jakieś pięć metrów swobodnej liny, lecz kazał ją ściągnąć Massenie, by się rozejrzeć. Robot przeszedł tędy — bez haków, bez liny i bez asekuracji. — A więc i ja to potrafię — pomyślał. Szukał po omacku nad sobą; kostka prawej stopy, zaklinowanej w ostatnim koniuszku szczeliny, która go dotąd prowadziła, ostro zakłuła od forsownego skręcenia; mimo to nie ustawał w wysiłkach. Naraz samymi czubkami palców zmacał listewkę, węższą od opuszki; można się było na niej podciągnąć, ale co dalej?

To już nie była tylko rywalizacja ze skałą, ale zarazem jakby i z Anielem, który przeszedł tędy — i to sam. Prawda, że palce miał stalowe... Pirx zaczął już wyswabiać stopę ze szczeliny, kiedy przy tym ruchu jakiś mały kamyk wyskoczył spod podeszwy i pomknął w dół. Doszedł go

wyraźnie syk rozcinanego powietrza, a w długą, długą chwilę potem — jedno wyraźne, ostre stuknięcie. — Owszem, ekspozycja jest — pomyślał. Zrezygnował z podciągania się i szukał miejsca, aby wbić hak. Skała była jednak bez najmniejszych pęknięć; wychylił się w obie strony, jak daleko mógł — nic jednak nie znalazł.

— Co tam? — doszedł go z dołu głos Masseny.

— W porządku, rozglądam się — powiedział. Kostka dawała mu się we znaki, czuł, że długo w tej pozycji nie ustoi. Ba, gdyby można porzucić tę drogę! Ale jeśli raz utraci ślad przejścia, nie odnajdzie go już w tej kilometrowej ścianie. Usiłował zobaczyć cokolwiek nad sobą. W ostrym skrócie płyta zdawała się obfitować we wcale przyzwoite chwytły, ale były to wklęsnięcia płytsze od dłoni; pozostawała tylko owa listewka. Kiedy wydobył stopę ze szczeliny, dźwigając się oburącz w górę, błysnęła mu myśl, że odwrotu już nie ma: skała od razu odepchnęła go, wisiał, końce butów oddaliły się od niej o jakichś trzydzieści centymetrów. W górę! Coś mignęło mu powyżej głowy. Rysa? Ale trzeba się było wyciągnąć. Jeszcze trochę! W następnej sekundzie utracił zdolność myślenia; trzeba było puścić lewą rękę, zawisnąć na końcach czterech palców prawej i sięgnąć lewą do rysy czy też pęknięcia niewiadomej głębokości. — Tego nie wolno było robić! — przemknęło mu, zupełnie bez słów, kiedy z pękającymi omal mięśniami znalazł się nagle o dwa metry wyżej, przywierając do skały; chwycił gwałtownie powietrze, trochę na siebie zły; stał teraz obiema nogami na listewce i mógł wbić hak, nawet dwa, dla pewności, bo pierwszy wszedł dosyć płytko. Zrobił to, z przyjemnością wsłuchując się w czysty, coraz to wyższy dźwięk, który wreszcie ustał. Lina wskoczyła w karabinki, wiedział, że będzie musiał pomóc Massenie; nie była to czysta robota, ale też nie znajdowali się w Alpach; w każdym razie stanowisko miał zupełnie przyzwoite. Nad filarem był wąski, całkiem łatwy komin, w którym Pirx wziął krótki pręt czujnika w zęby, bo się bał, że uderzy nim, wystającym zza pasa, o skałę; wyżej barwa otoczenia zmieniła się.

Ściana nie była już czarniawa, z zaciekami brunatnej, jak gdyby bardzo starej szarości. Miejsce jej zajęła ruda, cętkowana buro czerwień słabo iskrzącego się z bliska diabazu. Kilkanaście dobrych metrów — ale ta droga królów zaraz się skończyła; nad sobą miał już nową przewieszkę, nie do pokonania z tak małą ilością haków, no i bez półeczki; Aniel nie miał jednak nic; sprawdził czujnikiem: nie poszedł tamtędy a więc? Pozostawał tylko trawers.

Kiedy sobie to obejrzał, zrazu nie wydała mu się rzecz specjalnie trudna czy groźna. Powracała tu jakby forma zgubionego w diabazach filaru; stał na wąskiej ale przyzwoitej półeczce, która dochodziła do załomu i kończyła się tam; wychyliwszy się zobaczył dalszy jej ciąg za wybrzuszeniem skały, jakieś półtora me trą dalej — dwóch nie było na pewno. Należało zatem owinać się ciałem wokół odpychającego wybrzuszenia i, tracąc oparcie dla prawej stopy, odepchnąć się lewą tak, by — poprzez powietrze — prawa trafić mogła na dalszy ciąg półki. Poszukał miejsca na wbicie haków; z asekuracją byłoby to niezbyt trudne. Ale złośliwa ściana była i tu bez najmniejszych rys; spój rzał w dół: ze stanowiska, które mógł zająć Massena asekuracja była kompletną fikcją. Odpadłszy, leciałby co najmniej piętnaście metrów; nawet porządnie wbite te haki mogły wyrwać szarpnięcie. A jednak czujnik mówił, że robot przeszedł — sam! — Co to znaczy, do stu diabłów?! — powiedział sobie. — Po drugiej stronie jest półka! Jeden duży krok! Jazda, niedołego! — Ale stał dalej. Żeby choć dało się napiąć linę — gdzie tam! Wychylił się i patrzył przez sekundę na półkę, dłużej nie mógł — mięśnie zaczynały drżeć. Jeśli podeszwa nie chwyci? Aniel miał stalowe. Coś tam świeciło — topiący się lód. Ślisko jak wszyscy diabli. Należało wziąć ze sobą wibrany...

— I spisać testament — mruknął bezgłośnie, oczy zwęziły mu się, wzrok znieruchomiał, przygarbiony, rozpostarłszy ręce, szukając oparcia w samej szorstkości skały, przewinął się i zrobił ten krok, który go tyle kosztował. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, nie poczuł nawet satysfakcji, bo zobaczył, jak się wpakował. Półka po tej stronie była niższa, więc, chcąc wracać, musiałoby się skoczyć w górę. I jeszcze z tym przewinięciem — to już nie była wspinaczka ani akrobacja nawet, ale diabli wiedzą co! Zjazd na linie? Bo jeśli nie...

Widział, że to zupełny klops, a jednak trawersował dalej, póki się dało. O sytuacji mówiło

wystarczająco to, że zapomniał całkiem o Anielu; nie do niego mu było. Lina, wyciągnięta ponad cały jego trawers, chwiała się pod nim, lekko napięta i nadnaturalnie wyraźna, przesadnie bliska i konkretna, bo widoczna cały czas na tle ospyska, rozmazującego się w niebieskawym powietrzu u stóp ściany. Półka kończyła się i nie było z niej drogi ani w górę, ani w dół; odwrotu też nie. — Nie widziałem jeszcze czegoś tak gładkiego — pomyślał z jakimś osobliwym spokojem, który był jednak zupełnie inny od poprzedniego: albowiem gorzej nie mogło już być — więc zdenerwowanie stało się całkowicie zbędne. Rozejrzył się. Pod stopami miał czterocentymetrowy występ, a dalej nic — aż do niewyraźnej, ciemnej plamy komina, który zdawał się zapraszać do wnętrza; dzieliły go od niego cztery metry powietrza u ściany tak spoistej, tak lecącej, jak to tylko możliwe. — I to ma być granit?! — przemknęło mu w formie wyrzutu. Musiała tędy płynąć okresami woda — tak, jej ślady, od których płyta pociemniała, widział nawet, i poszczególne krople; wziął czujnik w prawą rękę i wodził nim, szukając śladu. Popiskiwało słabo. Był. Aniel przeszedł tędy. Ale jak? Naraz zobaczył malutką plamkę szarego jak skała mchu. Zdrapał go. Malutka ryska nie większa od paznokcia. Hak nie chciał wejść głębiej niż do połowy, ale i to było zbawieniem. Szarpnął oczkiem — jak siedzi? Jakoś siedział. A więc — teraz lewą ręką za hak i powoli... Wychylony do połowy w powietrze ześliznął się jakoś oczami z komina, który kusił do skoku, wpółotwarty, zupełnie jakby stworzony przed wiekami dla tej jednej sekundowej chwili, która musiała nadejść; wzrok jego poleciał wtędy w dół jak kamień — aż dotarł do niebieskawej iskry na mżącym szaro rysunku ospyska. Decydujący krok nie został zrobiony.

— Co tam?! — rozległ się głos Masseny.

— Zaraz! Za chwilę! — odkrzyknął, przerzucając linę przez karabinek. Musiał tam zajrzeć, ale dokładniej. Znów wychylił się, zwiśł trzema czwartymi ciężaru na haku, zupełnie jakby usiłował wyrwać go ze ściany, ale musiał koniecznie popatrzeć w dół, sprawdzić...

Tak, to był on. Nic innego nie mogłoby tak błyszczeć — z takiej wysokości. Bo droga odchyliła się już dawno od pionu i znajdował się teraz ze trzysta metrów w bok od miejsca, w którym rozpoczęli wspinaczkę. Szukał jakichś wyraźniejszych znaków orientacyjnych tam, w dole. Lina ścisnęła go nieprzyjemnie, źle się oddychało i krew pulsowała w oczach. Jak mógł, zapamiętywał konfigurację terenu; ten wielki głaz — da się go poznać, chociaż teraz widoczny jest w pionowym skręcie. Mięśnie drżały mu, kiedy wrócił do pionu. — Trzeba będzie zjechać — powiedział sobie i jakoś całkiem bezmyślnie ujął hak, który wyszedł od razu, jakby siedział w maśle; dziwnie mu się zrobiło, ale schował go do kieszeni i zaczął rozważania, jak się stąd wydostać. Udało się to, chociaż nie bardzo czysto: Massena wbił, ile się dało, haków na swoim stanowisku, skrócił linę, a Pirx po prostu przeszorował z osiem metrów po płycie, aż zawisł; tuż niżej był inny kominek i odtąd zjeżdżali już na przemian; kiedy Massena spytał go o powód odwrotu, powiedział:

— Znalazłem go.

— Aniela?

— Tak. Odpadł. Leży tam, na dole.

Powrotna droga nie trwała ani godziny; Pirx bez żalu rozstawał się z hakami; owszem, było to szczególne uczucie — pomyśleć, że nigdy już nie postawi tu nogi, ani on, ani żaden inny człowiek, a w tej skale będą tkwiły kawałki żelaza, obrobionego na Ziemi, i że to będzie już na wieki — a właściwie na zawsze.

Krull podbiegł do nich, kiedy, stanąwszy równymi nogami na głazach, zrobili kilka niepewnych jeszcze kroków, jakby odwykli od normalnego chodzenia, i z daleka już zawołał, że znalazł porzucone nieco opodal odrzutowe olstra Aniela; robot musiał zdjąć je umyślnie, nim wszedł w ścianę, co było już pewnym dowodem jego aberracji, gdyż stanowiły — w razie upadku — jedyną szansę ocalenia.

Massena zdawał się w ogóle nie zwracać uwagi na te rewelacje Krulla — nie krył się wcale z tym, ile kosztowała go ta droga; przeciwnie — z jakąś ostentacją usiadł na głazie, rozstawiwszy szeroko nogi, jakby się rozkoszował pewnością podstawy, i nad potrzebę wycierał chustką twarz, czoło i kark.

Pirx powiedział Krullowi, że Aniel spadł; po paru minutach poszli go szukać. Nie trwało długo, nim go znaleźli. Musiał lecieć co najmniej trzysta metrów. Pancierz tułowia rozprysnął się, metalowa czaszka też i jego monokrystaliczny mózg był miłkim szkliwem rozbryzniętym na wszystkie strony — świecił jak mika na białawych głazach. Krull nie okazał się, na szczęście, aż tak małostkowy, by dowodzić, że wspinali się całkiem niepotrzebnie. Powtórzył tylko, nie bez satysfakcji, że Aniel musiał się „rozprogramować” — pozostawione olstra są dowodem stuprocentowym. Massena był jakby odmieniony wspinaczką, ale nie na lepsze; nie próbował nawet oponować, a w ogóle wyglądało na to, że tym bardziej będzie zadowolony, im szybciej ekipa ulegnie rozwiązaniu i rozstaną się na dobre. Wracali więc w milczeniu, tym bardziej że Pirx nie uważał za wskazane dzielić się z towarzyszami własnym osądem wypadku. Był pewny, że Aniel nie uległ żadnemu defektowi, że to, co się stało, nie miało nic wspólnego z jakimiś monokryształami czy mnestronami, bo czyż on, Pirx, uległ defektowi, że tak bardzo chciało mu się pokonać tę ścianę? Aniel był po prostu bardziej podobny do swych konstruktorów, niż oni gotowi byli przyznać. Kiedy wykonał swoje zadanie, zostało mu jeszcze sporo czasu do powrotu — był przecież taki sprawny i szybki. Nie tylko widział, ale pojmował otoczenie; był stworzony do rozwiązywania trudnych zadań, to znaczy do gry, a tam objawiła mu się nie byle jaka — iż najwyższą stawką. Pirx nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy pomyślał o zaślepieniu Krulla i Masseny: to, że znaleźli odłożone rozmyślnie, odrzutowe olstra, wzięli za dowód — już zupełnie pewny — aberracji. Ale przecież każdy człowiek postąpiłby tak samo, w przeciwnym razie rzecz nie miała w ogóle sensu, stanowiąc szczególną odmianę gimnastyki. O, nie o to chodziło i żadne wywody, równania, żadne wykresy nie zdołałyby go już przekonać. Zdziwiło jedno tylko — że nie odpadł wcześniej, skoro szedł sam, bez umiejętności, bez treningu, skoro się na tym nie znał, bo nie budowano go przecież po to, by walczył ze skałami. Co by się stało, gdyby wrócił? Pirx znów, nie wiedząc czemu, był pewny, że by się o tym nigdy nie dowiedzieli. Od Aniela na pewno nie. A w owym miejscu, skoro nie miał towarzysza ani haka, a może nawet nie wiedział o ich istnieniu, zaryzykował skok. Co wtedy myślał? Pewno nic, jak on sam. Czy osiągnął, choć na мгновение, brzegów komina? Jeśli tak, musiał tam pozostać ślad, szczypta radioaktywnych atomów, które będą się powoli rozkładały, aż wyparują i znikną.

Wiedział jeszcze jedno: że nikomu o tym nie powie. Każdy człowiek trzymałby się kurczowo hipotezy defektu, najprostszej i najbardziej naturalnej, jedynej, która nie zmieniała obrazu świata.

Do obozowiska doszli po południu. Ich wydłużone cienie poruszały się żwawo podczas pracy; pospiesznie składali barak, który znikał całymi sekcjami, aż została po nim tylko udeptana, czworokątna pustka; obłoki przepływały, a Pirx przenosił skrzynie, zwijał płachty, robił to wszystko, co należało przedtem do Aniela — na tę myśl, gdy ją sobie, uświadomił, zatrzymał się, nim podał ciężar wyciągającemu ręce Massenie.

OPOWIADANIE PIRXA

— Książki fantastyczne? Lubię, owszem, ale tylko złe. To jest, nie tyle złe, ile nieprawdziwe. Na pokładzie zawsze mam coś takiego pod ręką, żeby poczytać w wolnej chwili, choćby i parę stron ze środka, a potem odłożyć. Z dobrymi zupełnie inna historia — czytam je wyłącznie na Ziemi. Dlaczego? Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Dobre książki są zawsze prawdziwe, nawet gdyby opisywały rzeczy, które nigdy nie wydarzyły się i nie wydarzą. Są prawdziwe w innym sensie — jeśli mówią, powiedzmy, o kosmonautyce, to tak, że poznaje się coś z tej ciszy, która jest zupełnie inna od ziemskiej, z tego spokoju, tak doskonale nieruchomego... Cokolwiek przedstawiają, mówią zawsze to samo, że człowiek, tam, nigdy nie będzie u siebie. Na Ziemi wszystko jest takie przypadkowe, byle jakie, drzewo, ściana, ogród, jedno można wymienić na drugie, za horyzontem jest inny horyzont, za górą — dolina, a tam jest całkiem inaczej. Na Ziemi nigdy nie przychodziło ludziom do głowy, jakie to okropne, że gwiazdy nie poruszają się; choćbyś leciał pełnym ciągiem przez rok, nie zauważysz zmiany. Latamy, jeździmy po Ziemi i wydaje się nam, że wiemy, co to — przestrzeń. Tego się nie da wyrazić. Pamiętam, raz, kiedy wracałem z patrolu, gdzieś pod Arbitrem słuchałem dalekich rozmów, ktoś kłócił się z kimś o pierwszeństwo lądowania i przypadkiem zobaczyłem inną wracającą raketę. Gość myślał, że jest sam. Ciskał swoją beczułką, jakby dostała ataku epileptycznego. Każdy z was wie, jak to jest — po paru dniach nachodzi człowieka taka szalona chętka, żeby coś zrobić, wszystko jedno co, dać pełny ciąg, pognać gdzieś, pokręcić na wielkim przyspieszeniu, żeby język wyszedł... Dawniej myślałem, że to jakieś nieprzyzwoite — człowiek nie powinien sobie tak folgować. Ale to jest w gruncie rzeczy tylko rozpacz, tylko chęć pokazania tego języka — kosmosowi. Bo on nie jest wymienny jak drzewo i chyba przez to właśnie tak ciężko dać sobie z nim radę. Otóż dobre książki o tym właśnie mówią. A ponieważ umierający nie lubią czytać o agonii, to i my wszyscy przecież po trochu bojąc się gwiazd nie chcemy, między nimi, słyszeć o nich prawdy. Pewno — dobre jest wtedy to, co odwraca uwagę, ale dla mnie przynajmniej najlepsze są właśnie te inne gwiazdowe historie, czytankowe, bo w nich wszystko, z całym kosmosem, staje się takie pocziwe... To pocziwość dla dorosłych, więc tam są katastrofy i morderstwa, i inne okropności, ale jednak pocziwe, niewinne, bo od początku do końca skłamane: próbują straszyć, a człowiek się tylko uśmiecha. To, co wam opowiem, jest taką historią. Zdarzyła mi się naprawdę. Mniejsza o to jednak. Było to w Roku Spokojnego Słońca. Jak zwykle w takim czasie odbywały się wielkie porządki dokoła—słoneczne, zamiatanie i wymiatanie mas żelastwa, kręcących się na wysokościach orbity Merkurego; przez sześć lat budowania wielkiej stacji w jego peryhelium porzucono w próżni kupę starych wraków, bo roboty prowadzono wówczas systemem Le Mansa i zamiast oddawać raketowe trupy na złom, używano ich jako rusztowań. Le Mans był lepszym ekonomistą niż inżynierem; wprowadzie stacja z wraków była trzy razy tańsza od zwykłej montowanej w przestrzeni, ale sprawiała taką masę kłopotów, że po Merkurym nikt się już do takich „oszczędności” nie brał. Wówczas jednak Le Mans wpadł na nową ideę — sprowadzenia tej trupiarni na Ziemię, bo po co ma kręcić się do dnia Sądu Ostatecznego, kiedy można ją przetopić w martenach? Ale żeby to było w ogóle opłacalne, musiał jako holowników użyć raket, niewiele lepszych od tych trupów. Byłem wtedy pilotem patroli z wylatanymi godzinami, to znaczy: byłem nim już tylko na papierze i każdego pierwszego, gdy brałem pensję. A latać chciało mi się tak, że zgodziłem się nawet na piec żelazny, byle miał choć trochę ciągu; nic dziwnego, że zgłosiłem się w brazylijskim biurze Le Mansa, ledwo przeczytałem jego ogłoszenie. Nie chciałbym twierdzić, że załogi, formowane przez Le Mansa, a właściwie przez jego agentów, były jakimś rodzajem Legii Cudzoziemskiej czy zbieraniną oprychów, bo tacy w ogóle nie latają. Ale ludzie rzadko kiedy idą teraz w kosmos szukając przygód; nie ma ich tam, przynajmniej na ogół ich nie ma, i decydują się na to nieraz w skutek nieszczęścia albo tak jakoś, z przypadku; jest to najgorszy materiał, bo służba wymaga większej odporności niż morska i dla tych, którym jest wszystko jedno, na pokładzie nie

ma miejsca. Nie bawię się w psychologię, chcę tylko wyjaśnić, czemu już po pierwszym rejsie straciłem połowę załogi. Musiałem zwolnić techników, bo rozpił mi ich telegrafista, mały Metys, który wymyślał najgenialniejsze sposoby przemykania alkoholu na pokład. Ten facet bawił się ze mną w chowanego. Wpuszczał plastikowe kieszki do kanistrów... A zresztą — mniejsza o to. Przypuszczam, że włożyłby whisky do reaktora, gdyby to tylko okazało się możliwe. Wyobrażam sobie, jakby takie historie oburzyły pionierów astronautyki. Nie pojmuję, czemu wierzyli w to, że samo wejście na orbitę zmienia człowieka w anioła. Może kołatało im w głowie, o czym sami nie wiedzieli, to niebieskie, rajskie niebo, które tak prędko kończy się podczas startu? Zresztą moje pretensje są głupie. Ten Meksykanin urodził się właściwie w Boliwii, dorabiał na boku, sprzedając marihuanę, a robił mi na złość, bo go to bawiło. Miałem gorszych od niego. Le Mans był wielkim człowiekiem, nie wchodził w szczegóły, ustalał tylko swoim agentom limity finansowe i nie dość, że załogi nie potrafiłem sobie skompletować, ale musiałem trząść się nad każdym kilowatem ciągu; żadnych gwałtownych manewrów, uranografy kontrolowali po każdym rejsie jak księgi finansowe, czy broń Boże gdzieś nie uciekło dziesięć dolarów, zamienionych w neutrony. Tego, co robiłem wtedy, nie uczono mnie nigdzie — być może, podobne rzeczy działy się sto lat temu na starych trampach, kursujących między Glasgow i Indiami. Zresztą nie skarżyłem się, a teraz wspominam to, wstyd powiedzieć, z rozrzewnieniem. Taka Perła Nocy — co za nazwa! Statek rozpadał się po trochu, żegluga polegała na szukaniu wszelkich możliwych przecieków i zwarć. Każdy start i lądowanie zachodziły wbrew prawom — nie tylko fizyki; zdaje się, że ten agent Le Mansa miał znajomości w porcie merkuryjskim, bo inaczej każdy inspektor kontroli natychmiast opieczętowałby wszystko, od sterów po stos. Więc wychodziliśmy sobie ma łowiska w perihelium, szukaliśmy radarem wraków, a potem ściągało się je i formowało „pociąg” — miałem tam wszystko na raz: awantury z technikami, wyrzucanie w próżnię wódki (jeszcze do dzisiaj krąży tam pełno London Dry Ginu) i piekielną matematykę, bo nawigacja polegała na wynajdywaniu przybliżonych rozwiązań problemu wielu ciał. Jednakże najwięcej, jak zawsze, było pustki. W przestrzeni i w czasie. Zamykałem się w kajucie i czytałem. Autora nie pamiętam, był to jakiś Amerykanin, w tytule było coś o piasku gwiazd, jakoś tam. Nie wiem, jaki był początek, bo zacząłem mniej więcej w połowie; bohater znajdował się w komorze reaktora i rozmawiał z pilotem przez telefon, kiedy rozległ się okrzyk: „Meteory z rufy!” Do tego momentu nie było ciężenia, aż nagle zobaczył, że ogromna skarpa reaktora, świecąca żółtymi oczami zegarów, najeżdża na niego z rosnącą chyżością; to silniki dały ciąg i statek skoczył, podczas kiedy on, wisząc w powietrzu, miał jeszcze poprzednią szybkość. Na szczęście odbił się jakoś nogami, ale akceleracja wyrwała mu z ręki słuchawkę; przez moment wisiał na sznurze telefonu; gdy upadł, rozplaszczony, ta słuchawka wahała się nad nim, a on robił nieludzkie wysiłki, żeby ją chwycić, ale rozumie się, ważył tonę i nie mógł palcem ruszyć, dopiero jakoś zębami ją złapał i wydał komendę, która ich uratowała. Tę scenę dobrze zapamiętałem, a jeszcze więcej podobał mi się opis przejścia przez rój. Obłok kurzawy powłókł, uważacie, trzecią część nieba, tylko najsilniejsze gwiazdy przebłyskiwały przez pyłową chmurę, ale to nic, bo w pewnej sekundzie bohater zobaczył w ekranach, że z tego tajfunu żółtego idzie blade świecąca smuga o czarnym jądrze — nie wiem, co to miało być, ale popłakałem się ze śmiechu. Jak on to sobie wszystko ślicznie wyobraził! Te chmury, tajfun, ta słuchawka — po prostu widziałem, jak facet dynda na sznurze telefonicznym, no bo to, że w kajucie czekała bardzo piękna kobieta, to się rozumiało samo przez się. Była ona tajnym agentem jakiejś tyranii kosmicznej — czy może walczyła z tą tyranią, już nie pamiętam. W każdym razie była piękna, jak należy. Czemu tak się rozwodzę nad tym? Bo ta lektura była moim zbawieniem. Meteory? Przecież ja wraków po dwadzieścia, trzydzieści tysięcy ton szukałem tygodniami i połowy nawet nie zobaczyłem w radarze. Łatwiej można zobaczyć lecącą kulę rewolwerową. Musiałem raz wziąć za kołnierz mego Metysa, kiedy nie mieliśmy ciągu; to pewno trudniejsze niż ze słuchawką, bośmy sobie obaj fruwali, ale nie tak efektowne. Wygląda na to, że gładzę. Wiem. Historia jednak tak się właśnie rozwijała. Dwumiesięczne polowanie skończyło się, miałem na holu sto dwadzieścia czy sto czterdzieści tysięcy ton martwego metalu i szedłem w

płaszczyźnie ekliptyki na Ziemię.

Wbrew przepisom? Ależ tak. Nie miałem paliwa na manewry. Mówiłem przecież. Musiałem wlec się bez ciągu przeszło dwa miesiące. Wtedy przyszła katastrofa. Nie, nie meteory, to nie była przecież powieść. Mums. Najpierw technik stosu, potem obaj piloci naraz, potem reszta; spuchły im gęby, oczy jak szparki, wysoka gorączka, o wachtach nie było nawet mowy. Jakiegoś wściekłego wirusa przyniósł na pokład Ngey, Murzyn, który był na Perle Nocy kucharzem, stewardem, ochmistrem i czymś tam jeszcze. On też chorował, a jakże! Czy dzieci nie przechodzą świnki w Ameryce Południowej? Nie wiem. Dosyć, że miałem statek bez załogi. Zostali mi telegrafista z drugim inżynierem; telegrafista od rana, od śniadania, był już pijany. A właściwie nie pijany — czy miał taką mocną głowę, czy sączył po trochu, dosyć, że ruszał się całkiem nieźle i to zwłaszcza, kiedy nie było grawitacji (a nie było prawie cały czas, nie licząc drobnych poprawek kursowych), ale miał alkohol w oczach, w mózgu, każde zlecenie, każdy rozkaz trzeba było dokładnie kontrolować marzyłem o tym, jak go stłukę, kiedy wylądujemy, tam nie mogłem sobie na to pozwolić, zresztą — jak bić pijanego? Bez alkoholu był to typowy szczur, szary, zgaszony, nie domyty i miał miły zwyczaj przeklinania najokropniejszymi słowami upatrzonych osób — przy stole w messie — Morse. Tak nadawał sobie Morse, postukując palcem w stół i parę razy omal nie doszło przez to do bitek, bo przecież wszyscy rozumieli, a on, przyparty do muru, twierdził, że to jest taki tik. Z nerwów. Że to się samo robi. Kazałem mu trzymać łokcie przyciśnięte do ciała, nadawał wtedy nogą albo widelcem w pewnym sensie był artystą. Jedynym człowiekiem zupełnie zdrowym, normalnym, był inżynier. Tak, ale okazało się, wiecie, że on był inżynierem drogowym. Naprawdę. Podpisał kontrakt, bo zgodził się na pół stawki i agentowi to zupełnie wystarczało, a mnie nie przyszło do głowy egzaminować go, kiedy przyszedł na pokład. Agent spytał go tylko, czy zna się na konstrukcjach, na maszynach; powiedział, że tak, znał się przecież. Na drogowych. Kazałem mu pełnić wachty. Nie odróżniał planet od gwiazd. Teraz już wiecie mniej więcej, w jaki sposób Le Mans robił wielkie interesy. Co prawda i ja mogłem się okazać nawigatorem łodzi podwodnych, i gdybym mógł, może nawet bym takiego udawał. Zamknąłbym się w kajucie, ale nie mogłem. Agent nie był wariatem. Liczył, jeśli nie na moją lojalność, to na mój instykt samozachowawczy. Chciałem wrócić, a ponieważ tych sto tysięcy ton nic w próżni nie ważyło i odczepienie ich nie zwiększyłoby naszej szybkości ani o milimetr na sekundę, nie byłem aż taki złośliwy, żeby to jednak zrobić. Bo i takie myśli chodziły mi po głowie, kiedy nosiłem rano od jednego do drugiego watek, olejek, bandaż, spirytus, aspirynę — całą moją przyjemnością była ta książka o miłości w próżni, wśród tajfunów meteorytowych. Przeczytałem niektóre ustępy po dziesięć razy. Były tam wszystkie możliwe rodzaje potwornych wydarzeń, mózgi elektryczne buntowały się, ajenci piratów mieli nadajniki wbudowane w czaszki, piękna kobieta pochodziła z innego systemu słonecznego, ale o mumsie nie znalazłem ani słowa. Tym lepiej dla mnie rzecz jasna. Miałem go dosyć. Zdawało mi się nawet chwilami, że kosmonautyki też.

W wolnych chwilach starałem się wysledzić, gdzie telegrafista ukrywa swoje zapasy. Nie wiem, może go przeceniam, ale zdaje mi się, że naprawdę zdradzał niektóre miejsca rozmyślnie, kiedy się w nich wódka kończyła, po prostu po to, abym nie osłabł w mojej decyzji i nie machnął ręką na jego pijaństwo. Bo tego, gdzie miał swoje główne źródło, nie wiem do dziś. Może był już taki przesycony alkoholem, że podstawowy zapas nosił w sobie? Dosyć, że szukałem, łąząc po statku jak mucha po suficie, pływałem sobie po rufie, po śródkręciu, jak to czasem zdarza się w snach, czułem się sam jak palec — całe bractwo leżało zapuchnięte w kajutach, inżynier tkwił w sterowni, ucząc się z lingwafonu francuskiego, było cicho jak na statku zadżumionych, czasem tylko przewodami wentylacyjnymi dochodził płacz albo śpiew. Tego boliwijskiego Meksykanina. Pod wieczór rozbierało go, odczuwał ból istnienia. Z gwiazdami miałem mało do czynienia, jeśli nie liczyć tej książki. Niektóre kawałki umiałem na pamięć, na szczęście wywietrzały mi już z głowy. Czekałem, kiedy się ten mums skończy, bo talie życie Robinsona na dłuższą metę zbytnio dawało się we znaki. Inżyniera drogowego unikałem, chociaż po swojemu był to nawet dość porządny chłop i przysięgał mi, że gdyby nie okropne tarapaty finansowe, w które wciągnęła go żona ze

szwagrem, nigdy by umowy nie podpisał.

Był to jednak człowiek z gatunku tych, których nie znoszę — zwierzejących się bez żadnych ograniczeń i hamulców. Nie wiem, czy tylko do mnie czuł takie nadzwyczajne zaufanie — chyba nie, bo pewne rzeczy po prostu nie przechodzą ludziom przez usta, a on mógł mówić wszystko, aż się skręcałem — na całe szczęście Perła Nocy była wielka: dwadzieścia osiem tysięcy ton spoczynkowej, było się gdzie schować.

Domyślicie się pewno, że to był mój pierwszy i ostatni rejs dla Le Mansa. Od tego czasu nie dałem się już więcej aż tak nabrać, chociaż bywałem w rozmaitych tarapatach. Nie opowiadałbym o tym, dość w końcu wstydliwym, fragmencie mojej biografii, gdyby nie wiązał się z tą drugą, nie istniejącą stroną kosmonautyki. Pamiętacie może uprzedzałem na wstępie, że to będzie prawie taka historia jak z tej książki.

Ostrzeżenie meteorytowe dostaliśmy na wysokości orbity Wenus, ale telegrafista spał czy po prostu nie odebrał go, dosyć, że dopiero na drugi dzień rano usłyszałem tę nowinę w wiadomościach nadawanych przez kosmologiczną stację Luni. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili wydało mi się to całkiem nieprawdopodobne. Drakonidy skończyły się już dawno, przestrzeń była czysta, roje chodzą w końcu regularnie, prawda, że Jowisz lubi robić perturbacyjne kawały, ale nie mógł być tym razem autorem żartu, bo radiant był zupełnie inny. Ostrzeżenie było zresztą tylko ósmego stopnia, pyłowe, gęstość chmury bardzo mała, procent odłamów większych znikomy, szerokość czoła co prawda znaczna kiedy popatrzyłem na mapę, zorientowałem się, że siedzimy już w tym tak zwanym roju od dobrej godziny, może i dwóch. Ekran były puste. Nie zaniepokoiłem się też specjalnie i jedyną rzeczą niezwykłą było dopiero drugie, południowe doniesienie: sondy zdalnie ustaliły bowiem, że chodzi o rój pozasystemowy!

Był to drugi taki rój od czasu powstania kosmologii. Meteory są szczątkami komet i chodzą sobie po wyciągniętych elipsach, uwiązane grawitacją do słońca, jak zabawki na nylonowych sznurach; rój pozasystemowy, to znaczy wchodzący w nasz układ z obszaru Wielkiej Galaktyki, jest sensacją, inna rzecz, że dla astrofizyków raczej niż dla pilotów. Jest, pewno, i dla nas różnica, choć niewielka na ogół: szybkości. Roje systemowe nie mogą mieć w okolicy Ziemi wielkich szybkości. Nie mogą posiadać szybkości większej niż paraboliczna lub eliptyczna. Natomiast wchodzący z zewnątrz systemu rój może mieć — i ma z reguły — hiperboliczną. Ale w praktyce wychodzi na jedno; podniecenie ogarnie więc meteorytologów i astrobalistyków, a nie nas.

Wiadomość o tym, że tkwimy w roju, nie zrobiła na telegrafistę żadnego wrażenia; mówiłem o tym podczas obiadu — wyłączywszy, jak zwykle, silniki na mały ciąg; wyrabiały nam poprawkę kursową, a równocześnie ślad ciężenia ułatwiał życie. Nie trzeba było ssać zupy przez .słomkę ani wciskać sobie przerobionej na pastę do zębów baraniny z tubki w usta. Zawsze byłem zwolennikiem normalnych, ludzkich posiłków.

Inżynier natomiast bardzo się przeraził. To, że mówiłem o roju jak o letnim deszczyku, skłonny był uznać za dowód mego pomieszania. Łagodnie wyjaśniałem mu, że — po pierwsze — rój jest pyłowy i bardzo rozrzedzony, a szansa spotkania odłamków, które mogłyby uszkodzić statek, mniejsza niż szansa śmierci wskutek spadnięcia na głowę żyrandola w teatrze; po drugie: i tak nie można nic zrobić, bo Perła jest niezdolna do manewrów mijania, po trzecie: kurs mamy, czystym trafem, niemal zbieżny z trajekcją roju, więc niebezpieczeństwo zderzenia zmniejsza się jeszcze o dalszych paręset razy.

Jakaś nie bardzo wydawał się przekonany, ale ja miałem już dość psychoterapii i wolałem skoncentrować się na telegrafistę, to jest — odciąć go choć na parę godzin od jego źródeł, bo w roju był, w końcu, bardziej potrzebny niż poza nim. Najbardziej obawiałem się jednej tylko rzeczy wezwania S O S. Statków było w tej przestrzeni sporo, przekroczyliśmy już perymetr Wenus i w obszarze tym panował wcale znaczny ruch, nie tylko towarowy; siedziałem przy nadajniku, mając telegrafistę pod boki, do szóstej czasu pokładowego, więc przeszło cztery godziny, na biernym nasłuchu, szczęśliwie bez jakichkolwiek alarmów. Rój był tak rzadki, że trzeba się było dosłownie godzinami wpatrywać w ekrany radarowe, aby dostrzec jakieś mikroskopijne, najślabsze

mrowienia — ale znów nie przysiągłbym, czy te zielone widemka nie były po prostu złudzeniem wzroku przemęczonego nieruchomą fikcją. Tymczasem nie tylko radiant, ale cały tor owego hiperbolicznego roju, który był już nawet ochrzczony Kanopijskim (od gwiazd radiantu), obliczono na Lunie i na Ziemi, i wiadomo było, że nie dojdzie do orbity Ziemi, ale mijając ją bokiem opuści system z dala od wielkich planet, które akurat były w innej stronie i, jak się pojawił, zniknie w otchłaniach galaktyki, aby nigdy już do nas nie wrócić.

Inżynier drogowy, wciąż niespokojny, zaglądał do radiostacji, chociaż wyganiałem go stamtąd żądając, by pilnował sterów; rozumie się, było to czystą fikcją; najpierw nie mieliśmy ciągu, a bez ciągu nie ma sterowania, dalej on nie potrafił wykonać najbardziej elementarnego manewru, którego bym mu zresztą nigdy nie powierzył, ale chciałem go czymś zająć, a siebie uwolnić od nieustannych molestowań. Pragnął bowiem wiedzieć, czy przechodziłem już przez roje, ile razy, czy przeżyłem w związku z tym katastrofy, czy poważne, jakie są szanse ratunku w wypadku trafienia... Dałem mu zamiast odpowiedzi „Podstawy kosmologii i kosmodromii” Kraffa, książkę wziął, ale nawet jej, zdaje się, nie otworzył, łaknął bowiem zwierzeń, a nie suchych informacji. Wszystko to działo się, przypominam, na statku pozbawionym ciężarunku; w okolicznościach takich ruchy osób, nawet trzeźwych, są dosyć goteskowo zmienione — trzeba zawsze pamiętać o jakimś pasie, przypięciu się, inaczej od naciśnięcia ołówka przy pisaniu można wyfrunąć pod sufit albo i nabić sobie guza. Telegrafista mój miał jednak inny system: nosił w kieszeniach masę rzeczy — jakichś ciężarków, skuwek, kluczy i kiedy znalazł się w opresji, zawisłszy nieruchomo między stropem, podłogą i ścianami, po prostu sięgał do spodni i ciskał pierwszym przedmiotem, który znalazł, aby łagodnie odpłynąć w „stronę przeciwną. Metoda ta jest niezawodna i każdorazowo potwierdza prawdziwość Newtonowskiej zasady akcji i reakcji, nie całkiem jednak dogodna, zwłaszcza dla innych, bo to, czym się rzuca, odbija się rykoszetami od ścian i nieraz uruchomiona tak latanina twardych i boleśnie mogących ugodzić przedmiotów trwa dość długo. Mówię o tym, aby uzupełnić jeszcze jednym odcieniem koloryt owej podróży.

W eterze panował tymczasem wzmożony tłok; wiele statków pasażerskich zmieniało, na wszelki wypadek i zgodnie z przepisami, trasy, Luna miała z nimi sporo roboty, automatyczne nadajniki, które nadają Morsem, obliczały w wielkich stacjonarnych kalkulatorach poprawki orbitalne i kursowe, pręły bez ustanku seriami sygnałów, zbyt przyspieszonych, aby można je odebrać na słuch. Poza tym i fonia była pełna głosów — pasażerowie za ciężkie pieniądze donosili strwożonym rodzinom, że mają się doskonale i nic im nie grozi, Luna astrofizyczna przekazywała bieżące doniesienia o strefach zagęszczeń roju, o wynikach spektralnych analiz jego składu, słowem — program był urozmaicony i człowiek nie nudził się zbyt przy głośniku.

Moi kosmonauci ze świnką, którzy wiedzieli już, rozumie się, o chmurze hiperbolicznej, telefonowali często-gęsto do radiostacji, aż wyłączyłem ich aparaty, oświadczając, że niebezpieczeństwo, a w szczególności przebicie statku i utratę hermetyczności, rozpoznają łatwo po braku powietrza.

Około jedenastej poszedłem zjeść coś do mesy; telegrafista, który na to tylko, zdaje się, czekał, znikł, jakby się rozplynął, a ja byłem zbyt zmęczony, aby nie to, że szukać go, ale choć o nim myśleć. Inżynier skończył wachtę, był spokojniejszy i znów martwił się już głównie szwagrem, a odchodząc do siebie (ziewał jak wieloryb) powiedział mi, że lewy ekran radaru musi być chyba popsuty, bo w jednym miejscu iskrzy się w nim coś zielono. Z tymi słowami odszedł, ja zaś kończyłem zimną wołowinę z puszki — i nagle, z widelcem wbitym w nieapetycznie zastygły tłuszcz, skamieniałem.

Inżynier znalazł się na obrazach radarowych jak ja na asfalcie. Ten „zepsuty” ekran...

W następnej chwili gnałem do sterowni. Tak to się mówi, w rzeczywistości poruszałem się tylko tak szybko, jak to jest możliwe, kiedy całe przyspieszenie dają człowiekowi chwyt rąk i odbijania się nogami od występów ścian lub stropu; sterownia, gdy się do niej wreszcie dostałem, była jakby wychłodła, światła pulpitu wygaszone, kontrolki stosu ledwo się żarzyły jak robaczki świętojańskie ze snu i tylko ekrany radarów pulsowały nieustannymi obrotami promieni

wodzących; już od drzwi patrzyłem na lewy.

W dolnym prawym kwadracie jaśniał nieruchomy punkt, a właściwie — gdy podszedłem całkiem blisko — plamka wielkości monety, spłaszczona soczewkowato, doskonale regularna, fosforyzująca zielono, jak malutka, pozornie tylko nieruchoma rybka pustego oceanu; gdyby ją zobaczył normalny wachtowy, ale nie teraz, nie teraz, pół godziny przedtem, włączyłby automatyczny nadajnik pozycyjny, zawiadomiłby dowódcę, zażądałby od tamtego statku danych o kursie i przeznaczeniu, ale ja nie miałem wachtowych, było o pół godziny za późno, byłem sam, więc robiłem, dalibóg, wszystko naraz — wezwane do identyfikacji, pozycyjne, nadajnik, wzbudzanie stosu, aby mógł dać w każdej chwili ciąg (był zimny jak bardzo, ale to bardzo stary nieboszczyk) — bo minuty mijały, zdążyłem nawet uruchomić podręczny kalkulator półsamoczynny i okazało się, że tamten statek ma kurs prawie zbieżny z naszym, różnica wynosiła ułamek minuty, prawdopodobieństwo zderzenia, i tak w próżni niewyobrażalnie nikłe, równało się prawie zeru.

Tyle że statek milczał. Przesiadłem się na drugi fotel i zacząłem łyskać w niego Morsem z pokładowego lasera. Był za nami, w odległości około dziewięciuset kilometrów, więc niesłychanie blisko, i widziałem się już, prawdę mówiąc, przed Trybunałem Kosmicznym (oczywiście, nie za „spowodowanie katastrofy” — po prostu za „naruszenie ósmego paragrafu Kodeksu Kosmologii przez NZ — Niebezpieczne Zbliżenie”). Myślę sobie, że nawet ślepi zobaczyliby moje świetlne sygnały. Statek ten w ogóle tylko dlatego tak uporczywie siedział mi w radarze i nie chciał się odzepić od Perły, a przeciwnie — z wolna się nawet do niej zbliżał, ponieważ właśnie miał zbliżony kurs. Były to prawie że równoległe tory; przesunął się w kwadracie już brzegowo, bo był szybszy. Na oko oceniłem jego szybkość na hiperboliczną; rzeczywiście, dwa namiary w odstępie dziesięciosekundowym wykazały, że robił dziewięćdziesiąt kilometrów na sekundę. Myśmy robili ledwo czterdzieści pięć!

Nie odpowiadał i zbliżał się; wyglądał już okazale, nawet zanadto okazale. Płonąca zielenią soczewka, widziana z loku, ostre wrzecionko... Spojrzałem na radarowy odległościomierz, bo coś zanadto mi urósł — czterysta kilometrów. Zamrugalem. Z takiej odległości każdy statek wygląda jak przecinek. — Ech, z tą Perłą Nocy! — pomyślałem. Wszystko tu jest nie tak. — Przerzuciłem obraz na mały radar podręczny z kierunkową anteną. Był taki sam. Zglupiałem. Może to — przemknęło mi nagle — też taki „pociąg Le Mansa” jak ten, którego ja jestem maszynistą? Tak ze czterdzieści wraków, jeden za drugim, stąd te rozmiary... Ale dlaczego taki wrzecionowaty?

Radaroskopy pracowały, odległościomierz samoczynny stukał i stukał: trzysta kilometrów. Dwieście sześćdziesiąt. Dwieście...

Zacząłem na Herrelsbergerze jeszcze raz obliczać kursy, bo mi to pachniało zbyt bliskim przejściem. Wiadomo, że od czasu kiedy na morzu zaczęto stosować radar, wszyscy poczuli się bezpieczni, a okręty toną dalej. Wyszło mu powtórnie, że tamten przejdzie mi przed dziobem w odległości jakichś trzydziestu — czterdziestu kilometrów. Sprawdziłem oba nadajniki — automat wzywający radiem i laserowy. Działały, ale obcy milczał.

Do tej chwili miałem wciąż jeszcze nieczyste sumienie: leciałem przecież jakiś czas na ślepo, kiedy inżynier opowiadał mi o swoim szwagrze i życzył dobrej nocy, a ja zajmowałem się wołowiną, bo nie miałem ludzi i robiłem wszystko sam — teraz jednak jakby łuski spadły mi z oczu. Napęczniony świętym oburzeniem, prawdziwego winowajcę widziałem już w owym głuchym, milczącym statku, który walił hiperboliczną przez sektor i nie raczył nawet odpowiedzieć na bezpośrednie wezwanie przynaglające!

Włączyłem fonię i zacząłem go wzywać. Żądałem różnych rzeczy — żeby zapalił sygnały pozycyjne i wyrzucił filary, żeby się zidentyfikował, żeby podał nazwę, miejsce przeznaczenia, armatora, wszystko, rozumie się umownymi skrótami; a on leciał sobie spokojnie, cichy, o włos nie zmieniając ani szybkości, ani kursu, i miałem go już na osiemdziesięciu kilometrach.

Dotąd był trochę z bakburty, ale coraz wyraźniej mnie wyprzedzał, wszak robił w sekundzie dwa razy więcej niż ja; i wiedziałem, że wskutek nieuwzględnienia przez kalkulator całej poprawki

kątowej odległość mijania będzie mniejsza od obliczonej o parę kilometrów. Poniżej trzydziestu na pewno, a kto wie, czy nie ze dwadzieścia. Powiniennem był hamować, bo do takich zbliżeń dopuszczać nie wolno, ale nie mogłem. Miałem za sobą tylko sto z czymś tysięcy ton cementarzysta rakiet; musiałbym pierwiej odczepić wszystkie gruchoty. Sam nie dałbym rady, załogę miałem zajęta mumsem, o hamowaniu nie było zatem mowy. Przydać się tu mogły raczej wiadomości z filozofii aniżeli z kosmodromii: stoicyzm, fatalizm, ewentualnie nawet, w razie gdyby błąd kalkulatora był nieprawdopodobnie wielki, coś z eschatologii.

Przy dwudziestu dwóch kilometrach odległości tamten statek wyraźnie już zaczął wyprzedzać Perłę. Wiedziałem, że odległość będzie odtađ rosła, więc wszystko było tylko niby w porządku; cały czas patrzyłem do tej chwili tylko na odległościomierz, bo był najważniejszy i dopiero teraz ponownie spojrziałem na radaroskop.

To nie był statek, ale wyspa latająca, nie wiem zresztą co. Był wielki, z dwudziestu kilometrów jak moje dwa palce — idealnie regularne wrzeciono zmieniło się w dysk, nie w obrączkę!

Rzecz jasna, od dawna już myślicie sobie, że to był statek „innych”. No, bo skoro miał dziesięć mil długości... Tak to się mówi, ale któż wierzy w statki „innych”? Pierwszym moim impulsem było gonić go. Doprawdy! Chwyciłem dźwignię głównego ciągu — ale jej nie ruszyłem. Miałem za rufą wraki na holu; to było na nic. Skoczyłem z fotela i wąskim szybem dostałem się do nadbudowanej nad sterownią, małej, wpasowanej w pancierz zewnętrzny kajuty astronomicznej. Było tam, nawet pod ręką, wszystko, czego potrzebowałem: luneta i flary. Wystrzeliłem trzy, jedną za drugą, jak szybko mogłem, w przybliżonym kierunku tego statku i kiedy pierwsza rozbłysła, zacząłem go szukać. Był wielki jak wyspa, ale nie od razu go znalazłem. Błask flary, która wskoczyła w pole widzenia, oślepił mnie do tego na parę sekund, musiałem cierpliwie czekać, aż przejrzę. Druga flara zapaliła się daleko z boku, nic z niej nie miałem, trzecia wyżej. W jej nieruchomym świetle, bardzo białym, zobaczyłem go.

Nie widziałem go dłużej niż pięć, może sześć sekund, bo flara nagle, jak to z nimi czasem bywa, wybuchnęła mocniej i zgasła. Ale w owych paru sekundach zobaczyłem przez mocne, osiemdziesięciokrotne szkła, z wysoka, dosyć słabo, widmowa, lecz wyraźnie oświetlony ciemny kształt metalu; patrzyłem nań jakby z kilkusetmetrowej odległości. Ledwo mieścił się w polu widzenia; w samym środku wyraźnie tliło kilka gwiazd, jakby tam był przezroczysty jakby to był ulany z ciemnej stali, lecący w przestrzeni, pusty w środku tunel; ale zdołałem dostrzec wyraźniej, w tym ostatnim rozbłysku flary, że to jest rodzaj spłaszczonego walca, którego modelem byłaby bardzo gruba opona patrzeć mogłem na przestrzał przez puste centrum, chociaż nie leżało w osi spojrzenia; ten kolos był pochylony pod kątem do linii wzroku — jak szklanka, którą się lekko nachyli, aby wylać z niej powoli płyn.

Rzecz jasna, wcale nie rozpamiętywałem owego widoku. tylko wystrzeliłem następne flary; dwie nie wypaliły, trzecia była za krótka, czwarta i piąta ukazały mi go po raz ostatni. Teraz bowiem, przeciąwszy linię kursową Perły, oddalał się coraz szybciej; był o sto, o dwieście, o trzysta kilometrów — wizualna obserwacja nie była możliwa.

Wróciłem natychmiast do sterowni, aby porządnie ustalić elementy jego ruchu; zamierzałem, kiedy to zrobię, rozpocząć alarm na wszystkich pasmach, jakiego kosmoloćja nie pamięta; wyobrażałem już sobie, jak nakreślonym przeze mnie torem pójda sfory rakiet, żeby dopaść tego gościa z głębin.

Byłem właściwie pewny, że stanowił część hiperbolicznego roju. Oko bywa w pewnych okolicznościach podobne do kamery fotograficznej i obraz, oświetlony mocno, choć na ułamek sekundy, można jeszcze dobrą chwilę po j ego zniknięciu nie tylko rozpamiętywać, lecz analizować wcale szczegółowo, prawie tak, jakby aktualnie trwał nadal przed nami. A ja zobaczyłem w tym agonalnym rozbłysku flary powierzchnię olbrzyma; jego milowe pobocznicze nie były gładkie. lecz zryte, nieomal jak grunt księżycowy, światło rozciekło się po chropowatościach, gruzłach, kraterowatych wgłębieniach — miliony lat musiał już tak lecieć, wchodził, ciemny i martwy, w mgławice pyłowe, wychodził z nich po wiekach, a meteorytowy kurz w dziesiątkach tysięcy

zderzeń żarł go i nadgryzał próżniową erozją. Nie umiem powiedzieć, skąd brała się we mnie ta pewność, ale wiedziałem, że nie ma w nim nikogo żywego, że to jest już miliardoletni wrak i nie istnieje może nawet cywilizacja, która go wydała!

A kiedy o tym wszystkim myślałem, równocześnie po raz czwarty, piąty, szósty, dla zupełnej już dokładności, na wszelki wypadek, obliczałem elementy jego ruchu i każdy rezultat uderzeniem klawisza posyłałem w głąb układu zapisującego, bo szkoda mi było nawet sekundy, bo był już tylko przecinkiem zielonkawej fosforyzacji na ekranach i jarzył się, jak spokojny świetlik, w brzeżnym sektorze prawego o dwa tysiące, o trzy tysiące, o sześć tysięcy kilometrów.

Kiedy skończyłem, znikł. Cóż mi to jednak szkodziło? Był martwy, niezdolny do manewru, więc nie mógł nigdzie uciec, ukryć się: leciał wprawdzie z hiperboliczną, ale mógł go z łatwością dogonić każdy statek o reaktorze dużej mocy, a mając tak precyzyjnie obliczone elementy ruchu...

Otworzyłem kasetę aparatu zapisującego, żeby wyjąć papierową taśmę i pójść z nią do radiostacji — i wtedy, jakby we mnie grom uderzył, zastygłem, ogłupiały nagle, zdruzgotany...

Metalowy bęben był pusty; taśma dawno się już, może przed godzinami, może przed dniami, skończyła, nikt nie założył nowej i posyłałem wszystkie rezultaty obliczeń donikąd; przepadły co do jednego; nie było ani statku, ani jego śladu, nic...

Rzuciłem się do ekranów, potem, doprawdy, chciałem odzepić ten mój przeklęty balast, porzucić owe dobra Le Mansa i puścić się — dokąd? Sam dobrze nie wiedziałem. Zapewne, kierunek... Mniej więcej na gwiazdozbiór Wodnika, ale cóż to był za cel! Może jednak? Gdybym podał przez radio sektor, w przybliżeniu, oraz szybkość...

Należała to zrobić. Było to moim obowiązkiem, pierwszym ze wszystkich, jeśli w ogóle jakieś jeszcze miałem.

Pojechałem windą na śródkręcie, do radiostacji, i ustalałem już kolejność działań: sygnał wzywający do Luny Głównej z żądaniem prawa pierwszeństwa dla następnych moich komunikatów, gdyż chodzi o informacje największej wagi; takich nie będzie odbierał automat, ale prawdopodobnie dyżurny koordynator Luny; złożę meldunek o dostrzeżeniu obcego statku, który przeciął mój kurs z szybkością hiperboliczną i stanowił prawdopodobnie część galaktycznego roju. Zażąda natychmiast podania elementów jego ruchu. Będę musiał powiedzieć, że obliczyłem je wprawdzie, ale ich nie mam, bo magazynek taśmowy aparatu był, wskutek zaniedbania, pusty. Wówczas zażąda, abym padał „fix” pilota, który zaobserwował, jako pierwszy, ów statek. Ale i takiego „fixu” nie ma, bo wachtę pełnił inżynier, z wykształcenia drogowiec, a nie kosmonauta; z kolei — jeśli to już nie wyda mu się podejrzane — zapyta, czemu nie poleciłem, w trakcie dokonywania pomiarów, przekazać na bieżąco danych memu radiowcowi; więc będę zmuszony wyjaśnić, że telegrafista nie pełnił służby, bo był pijany. Jeśli zechce jeszcze w ogóle i wtedy prowadzić ze mną rozmowę o takich sprawach przez tych trzysta sześćdziesiąt osiem milionów kilometrów, które nas dziela, zapragnie dowiedzieć się, czemu nie pełnił służby któryś z pilotów jaka zastępca telegrafisty; wtedy odpowiem, że cała załoga ma świnkę i leży w gorączce. Jeśliby do tej chwili żywił jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, upewni się, że człowiek, który w środku nocy alarmuje go wiadomościami o statku „innych”, jest albo nie przy zdrowych zmysłach, albo pijany. Spyta, czy utrwaliłem wizerunek statku w jakikolwiek sposób — fotografując go w świetle flar, zapisując dane radarowe na ferrotaśmie albo przynajmniej notując wszystkie kolejne wezwania, z jakimi zwracałem się do niego przez radio. Ale nie mam nic, nic, ponieważ zbyt szybko się spieszyłem, nie uważałem, aby jakieś fotografie były potrzebne, skoro niebawem ziemskie statki dołączą do niezwykły cel i wszystkie urządzenia zapisujące były wyłączone. Zrobi wtedy to, co ja uczyniłbym na jego miejscu — każe mi się wyłączyć i zapyta wszystkie statki mojego sektora, czy któryś nie dostrzegł nic podejrzanego. Otóż żaden statek nie mógł zobaczyć galaktycznego gościa. Byłem tego pewny. Spotkałem go tylko dlatego, że leciałem w płaszczyźnie ekliptyki, choć jest to najsurowiej wzbronione, zawsze bowiem krąży w niej pył i resztki zmielonych przez czas meteorów czy kometowych ogonów. Przekroczyłem ten zakaz, bo inaczej nie wystarczyłoby mi paliwa dla manewrów, mających wzbogacić Le Mansa o sto czterdzieści tysięcy ton złomu

rakietowego. Należało od razu uprzedzić koordynatora Luny, że spotkanie nastąpiło w strefie zakazanej, co pociągnęłoby za sobą nieprzyjemną rozmowę w Komisji Dyscyplinarnej przy Trybunale Kosmicznej Żeglugi. Zalewne, odkrycie tego statku warte było czegoś więcej niż upomnienia Komisji, a może i kary, ale tylko pod warunkiem, że się go rzeczywiście dosięgnie. Otóż to wyglądało mi na rzecz beznadziejną. Musiałem mianowicie zażądać, aby w obszar podwójnego zagrożenia, bo w strefę ekliptyki, i do tego jeszcze nawiedzoną przez hiperboliczny rój, rzucono całą flotyllę statków na poszukiwania. Koordynator Luny, gdyby nawet chciał, nie miał prawa tego uczynić; a gdybym się na głowie postawił i do rana wzywał COSNAV ziemski i Międzynarodową Komisję do Spraw Badania Przestrzeni, i diabli wiedzą, kogo jeszcze, rozpoczęłyby się obrady i posiedzenia, za czym, gdyby szły błyskawicznie, już po jakichś trzech tygodniach zapadłaby decyzja. Ale — jak to obliczyłem jeszcze w windzie, bo doprawdy tej nocy myślało mi się bardzo szybko — ów statek będzie się wówczas znajdował w odległości stu dziewięćdziesięciu milionów kilometrów od miejsca spotkania, więc poza Słońcem, które minie dostatecznie blisko, aby odchyliło jego trajektorię, i przestrzeń, w której przyjdzie go szukać, będzie liczyła ponad dziesięć miliardów kilometrów sześciennych. Być może — dwadzieścia.

Tak to się przedstawiało, kiedy dotarłem do radiostacji. Siadłem tam i próbowałem jeszcze ocenić szacunkowo, jakie są szanse dostrzeżenia statku przez wielki radioteleskop Luny, najpotężniejszą jednostkę radioastronomiczną całego układu. Ale Ziemia z Księżycem znajdowała się akurat po przeciwnej stronie orbity w stosunku do mnie, więc i do tego statku. Radioteleskop był potężny, ale nie aż tak potężny, aby z odległości czterystu milionów kilometrów dostrzec kilkumetrowe ciało. I to był koniec całej tej historii. Podarłem kartki z obliczeniami, wstałem i cicho poszedłem do kajuty z uczuciem, że popełniłem zbrodnię. Mieliśmy gościa z kosmosu, odwiedziny, zdarzające się — bo ja wiem? raz na miliony, nie — na setki milionów lat. I przez mumsa, Le Mansa, jego wraki, pijanego Metysa, inżyniera z jego szwagrem i moje niedbalstwo — przeszedł nam przez palce, aby rozpuścić się, jak duch, w nieskończonej przestrzeni. Od tej nocy żyłem w jakimś dziwnym napięciu przez dwanaście tygodni — w tym czasie bowiem martwy statek musiał wejść w obszar wielkich planet i tym samym zostać stracony dla nas już na zawsze. Nie opuszczałem, jeśli to było możliwe, radiostacji, żywiąc coraz słabszą nadzieję, że jednak ktoś go dostrzeże, ktoś przytomniejszy ode mnie albo po prostu bardziej szczęśliwy, ale nic takiego się nie stało. Rozumie się, nikomu o tym nie mówiłem. Ludzkości nieczęsto trafiają się takie okazje. Poczuję się do winy nie tylko wobec niej — ale i wobec owej drugiej; i nie czeka mnie nawet herostratesowa sława, bo teraz, po tylu latach, nikt mi już, na szczęście, nie uwierzy. Zresztą i ja sam miewam czasami wątpliwości: być może, nie zdarzyło mi się nic — prócz zimnej, ciężkostrawnej wołowiny.

ALTRUIZYNA

CZYLI OPOWIEŚĆ PRAWDZIWA O TYM, JAK PUSTELNIK DOBRYCY KOSMOS USZCZEŚLIWIĆ ZAPRAGNAŁ I CO Z TEGO WYNIKŁO

Pewnego dnia letniego, gdy konstruktor Trurl zajęty był przycinaniem gałązek cyberberysu, który hodował w swym ogródku, ujrzał zbliżającego się drogą oberwańca, litość i grozę pospołu budzącego swym wyglądem. Robot ów miał wszystkie członki obwiązane sznurkiem i posztukowane przepalonymi rurami od piecyków, zamiast głowy — stary garnek dziurawy, w którym myślenie jego dudniło i zacinało się, iskrząc, kark wzmocniony prowizorycznie kawałkiem sztachety, a w otwartym brzuchu trzęsące się i filujące lampy katodowe, które ten nieszczęśnik przytrzymywał swobodną ręką, drugą nieustannie dokręcając śrubki poluzowane; kiedy zaś, kuszykając, mijał furtkę Trurlowej posiadłości, przepaliły mu się cztery naraz bezpieczniki, tak że w kłębach dymu i fetorze skwierczącej izolacji zaczął się rozsypywać na oczach konstruktora. Ów, współczucia pełen, natychmiast porwawszy śrubokręt, obcegi i bandażę smołowe, pospieszył wędrowcowi z pomocą, przy czym tamten wielokrotnie mdlał z okropnym rżeniem trybów wskutek ogólnej desynchronizacji; na koniec jednak udało się Trurlowi przywieść go do jakiejś takiej przytomności i, opatrzonego już, usadził w paradnym pokoju, a podczas gdy biedak chciwie podładowywał się z baterii, Trurl, nie mogąc dłużej powściągnąć ciekawości, zaczął pytać, co też przywiodło go do tak okropnego stanu.

— Litościwy panie — odparł nieznany robot, z wciąż jeszcze dygocącymi magnesami — nazywam się Dobrycy, a jestem, to znaczy byłem, pustelnikiem anachoreta; trawiłem czas w pustyni na rozmyślaniach pobożnych przez lat sześćdziesiąt i siedem. Wszelako pewnego ranka przyszło mi do głowy, czy też słusznie czynię, pędząc żywot w samotności. Czy wszystkie moje rozmyślenia otchłanne i dociekania duchowe zdołają choć jeden nit powstrzymać od wypadnięcia? Zali nie pierwszym moim obowiązkiem jest nieść pomoc bliźnim, a o własne zbawienie na drugim dopiero troszczyć się miejscu? Azali...

— Już dobrze, dobrze, pustelniku — powstrzymał go Trurl. — Stan duszy twojej z tego poranka mniej więcej rozumiem. Mów, proszę, co było dalej.

— Udałem się do Fotury, gdzie poznałem przypadkiem pewnego znakomitego konstruktora nazwiskiem Klapaucjusz.

— Ach! Czy być może?! — zawołał Trurl.

— Co takiego, panie?

— Nie, nic! Mów, proszę, dalej.

— To jest — nie od razu go poznałem; był to wielki pan, jechał karocą automatyczną, z którą mógł sobie gadać jak ja z tobą; karoca ta, gdy stanął na środku ulicy, nienawykły do miejskiego ruchu, ubliżyła mi wielce nieprzystojnym słowem, tak że mimo woli zszedł kosturem przez latarnię; wówczas dopiero się wściekła, aliści pasażer poskromił ją, a mnie zaprosił do wnętrza. Opowiedziałem mu tedy, kim jestem i dlaczego opuściłem pustynię, a także, iż nie wiem, co czynić dalej; on zaś decyzję moją pochwalił i ze swej strony przedstawił się, jak również prawił długo o swych pracach i dziełach; na koniec zaś opowiedział mi całkiem poruszającą historię Chloryana Teorycego dwojga imion Klapostola, słynnego myślanty i zofomana, przy którego smutnym końcu był sam obecny. Z wszystkiego, co o „Księgach” tego Wielkiego Robota mówił, najbardziej poruszyła mnie rzecz o Enefercach. Czy słyszałeś, litościwy panie, o tych istotach?

— Owszem. Chodzi o istoty jedyne w Kosmosie, które osiągnęły już Najwyższą Fazę Rozwoju, nieprawdaż?

— Ależ tak, panie, masz wiadomości wyborne całkiem! Gdy siedział u boku znakomitego Klapaucjusza w karecie (która bezustannie najokropniejszymi obelgami miotała w tłum, niechętnie

ustępujący nam z drogi), przyszło mi do głowy, że kto jak kto, ale owe istoty, tak rozwinięte, że już lepiej nie można, na pewno wiedzą, co należy zrobić, kiedy się odczuwa takie parcie dobra i taką chęć czynienia go bliżnim, jak właśnie ja. Zwróciłem się więc zaraz do Klapaucjusza z pytaniem, gdzie też przebywają Enefercy i jak ich znaleźć. On atoli uśmiechnął się tylko dziwnie, potrząsnął w zadumie głową i nic nie odpowiedział. Nie śmiałem być natarczywy; wszelako potem, kiedy znaleźliśmy się już w karczmie (bo karetą, kompletnie ochrypnięwszy, straciła głos, tak że dalszą podróż musiał pan Klapaucjusz odłożyć do dnia następnego), przy dzbanie polewki jonowej humor mego gospodarza poprawił się i patrząc na pary, które szparko wywijają cyberka przy skocznych tonach kapeli, przypuścił mnie do konfidencji, by taką opowiedzieć historię... Ale może pan znudzony jesteś moim opowiadaniem?

— Nie, nie! — żywo zaprzeczył Trurl. — Słucham uważnie.

— „Mój Dobrycy pocziwy!” — rzekł mi pan Klapaucjusz w owej karczmie, kiedy aż iskry szły z taneczników — „wiedz, że niezmiernie wziąłem sobie do serca historię nieszczęśliwego Klapostoła i uznałem, że winienem wyruszyć niezwłocznie na poszukiwania owych istot doskonale rozwiniętych, których konieczność uzasadnił on w sposób czysto logiczny i teoretyczny. Widziałem atoli trudność główną przedsięwzięcia w tym, że wszak każda rasa kosmiczna ma siebie za najdoskonalej rozwiniętą, tak tedy pytaniem niczego nie wskóram; lecieć zaś na chybił — trafił było o tyle niepewne, że, jak mi to wyszło z rachunków, w Kosmosie istnieje około czterestu centygygaheptatrybillionardów społeczności wcale rozumnych, więc sam widzisz, że z odnalezieniem właściwego adresu jest pewien kłopot. Rozwazałem rzecz tak i owak, przetrząsałem biblioteki, księgi stare, aż odnalazłem pewną istotną wskazówkę w dziele niejakiego Trupusa Malignusa, który odznaczył się tym, że doszedł do tegoż wniosku co Klapostoł, ale o trzysta tysięcy lat wcześniej, wszelako całkowicie został zapoznany. Jak z tego widać, nie masz nic nowego pod żadnym ze słońc i nawet skończył Trupus podobnie jak Chloryan... Ale to nie ma nic do rzeczy. Tak więc z owych odcyfrowanych strzępów dowiedziałem się, jak należy szukać Eneferców. Malignus wywodził, że musi się przetrząsać rojowiska gwiazdne, dążąc do odnalezienia tego, co niemożliwe; i gdy się coś takiego znajdzie, pewne już, że to właśnie tam. Niechybnie, była to wskazówka pozornie ciemna, od czegóż jednak jasność umysłu? Zaraz ochędożyłem statek i puściłem się w drogę. O tym, czego w niej doznałem, zamilczę; powiem jeno, że zauważyłem wreszcie w kurzawie gwiazd jedną, tym różniącą się od wszystkich innych, że była kwadratowa. Ach! Jakie to było wstrząśnienie! Przecież każde dziecko wie, że gwiazdy muszą być co do jednej okrągłe i o żadnej ich kanciastości, a jeszcze do tego regularnie czworokątnej, i mowy nie ma! Natychmiast zbliżyłem statek do owej gwiazdy i wnet dostrzegłem jej planetę, która była też czworokątna, wyposażona przy tym na narożach w zamczyste okucia. Nieco dalej krążyła inna, całkiem już zwykła planeta; nacelowałem na nią lunetę, aby ujrzeć watahy robotów, które łamały gnaty innym; nie zachęcało to specjalnie do lądowania. Wróciłem przeto do porzuconej za rufą planety — skrzyni i raz jeszcze wypenetrowałem ją gruntownie dalekowiedzem. Jakże radosne przeniknęło mię drżenie, gdy na jednym z milowych jej okuć odczytałem powiększony w soczewkach monogram, bogato rzeźbiony, z trzech składający się liter: NFR!

— Wielkie nieba! — rzekłem sobie. — To tu!

Wszelako latając wokół niej do zawrotu głowy, nie mogłem dojrzeć na jej piaszczystych równinach ani żywego ducha. Dopiero zbliżywszy się na odległość sześciu mil, rozróżniłem nagromadzenie ciemnych kropek, które w polu widzenia superteleskopu okazały się mieszkańcami tego ciała niebieskiego. Było ich koło setki; spoczywali byle jak na piasku i martwota owa porządnie mnie zaniepokoiła, ale przekonałem się, że od czasu do czasu ten czy ów drapie się smacznie, a te oczywiste oznaki przytomności skłoniły mnie do lądowania. Nie mogłem się doczekać wystygnięcia rakiety, jak zwykle rozpalonej tarciami powietrznymi; wyskoczyłem z niej, biorąc po trzy stopnie, i pogałem między leżących, wołając już z daleka:

— Przepraszam! Czy to tu jest Najwyższa Faza Rozwoju?!!

Nikt mi atoli nie odpowiedział, co więcej — nikt nie zwrócił na mnie choćby najmniejszej

uwagi. Zaskoczony taką obojętnością, straciłem rezon i obejrzałem sobie uważnie całe otoczenie. Równinę oblewały blaski kwadratowego słońca. Z piasku sterczały tu i ówdzie jakieś połamane kółka, wiehcie, papiery i inne odpadki, miejscowi zaś spoczywali wśród nich byle jak, ten na plecach, ów na brzuchu, a któryś z dalej leżących zadarł nawet obie nogi i celował nimi od niechcenia w zenit. Obszedłem sobie najbliższego. Nie był to robot, ale nie był to i człowiek czy inny bialecznik z rodzaju trzęskich. Głowę miał wprawdzie dość pulchną, z rumianymi policzkami, zamiast oczu wszakże — dwie małe fujarki, a w uszach — kadzidło, cicho płonące, które otaczało go obłokiem wonnego dymu. Odziany był w orchideowe pantalone z sinym lampasem, dzierganym strzępami brudnego zapisanego papieru, obuty zaś był w rodzaj płóz, w rękach trzymał bandurę, wypieczoną z lukrowanego piernika, o napoczętej już korbie, a przy tym cicho i wcale miarowo chrapał. Kiedy spróbowałem odczytać gryzmoły na papierkach wszytych w lampasy spodni, ocierając oczy łzawiące od dymu kadzidła, udało mi się to tylko z niektórymi; były to dość dziwne napisy, takie na przykład: NR 7 — BRYLANT — GÓRA WAGI SIEDMIU CETNARÓW, NR 8 — CIASTECZKO DRAMATYCZNE, ŁKA JEDZONE, PRAWI MORAŁY Z BRZUCHA, NUCI TYM WYŻEJ, IM JEST NIŻEJ, NR 10 — GOLKONDRYNA DO DZIUMBANIA, DOROSŁA — i inne, jakich już nie pamiętam. Kiedy zaś, wielce tym oszołomiony, dotknąłem jednego z papierków, aby go rozprostować, w piasku przy samej nodze leżącego zrobił się dołek i cichy głosik spytał stamtąd:

— Czy już? — Kto mówi?! — zawołałem. — To ja, Golkondryna... zaczynać? — Nie, nie trzeba! — odparłem spieszenie i oddaliłem się z tego miejsca. Następny tubylec miał głowę w kształcie dzwonu, z trzema rogami, kilkanaście rąk większych i mniejszych — przy czym dwie malutkie masowały mu żołądek — uszy długie i upierzone, czapkę z małym, purpurowym balkonem, na którym ktoś klócił się z kimś, chyba niewidzialny, bo latały tylko malutkie talerzyki, tłukąc się tu i tam, jak również coś w rodzaju brylantowego jaśka pod plecami. Osobnik ów, gdym przed nim stanął, wyjął jeden róg z głowy, powąchał go i odrzuciwszy z niesmakiem, nasypał sobie do środka trochę brudnego piasku. Tuż obok leżało coś, co wzięłem za parę bliźniąt; potem pomyślałem, że to kochankowie w uścisku, i chciałem oddalić się dyskretnie, ale to była po prostu ani jedna osoba, ani dwie, a tylko półtorej. Głowę miała całkiem zwykłą, ludzką, tylko uszy co chwila odrywały się od niej i fruwały po otoczeniu, trzepocąc jak motylki. Powieki tej osoby były zamknięte, za to liczne brodawki na czole i policzkach, opatrzone maleńkimi oczkami, patrzyły na mnie z wyraźną nieprzyjaźnią. Pierś miał ten dziwny stwór szeroką, rycerską, z mnóstwem dziur, jakby niechlujnie powywiercanych — tkwiły w nich polaną sokiem malinowym pakuły; nogę tylko jedną, ale za to bardzo grubą, obutą w safianowy trzewik z filcowym dzwoneczkiem; obok jego łokcia wznosił się stos ogonków gruszek czy jabłek. Przejęty coraz większym osłupieniem, poszedłem dalej i napotkałem robota z ludzką głową, który miał w nosie malutki samograj z rybkami; innego, leżącego w kałuży konfitur poziomkowych, trzeciego z otwartą w plecach klapką, tak że widziało się jego kryształowe wnętrzości; odgrywały tam ciekawe sceny jakieś nakręcane krasnoludki, lecz to, co wyczyniały, było tak nieprzystojne, że z rumieńcem odskoczyłem od klapki jak oparzony. Przy tym skoku straciłem równowagę i upadłem, a podnosząc się, zobaczyłem tuż przed sobą nowego mieszkańca planety: goły, drapał się złotą drapaczką w plecy, przy czym czynił to, przeciągając się lubo, choć był bez głowy. Ta ostatnia, odstawiona dogodnie, z szyją w piasku, liczyła językiem zęby w szeroko otwartej gębie. Czoło miała miedziane z białym szlaczkiem, w jednym uchu kolczyk, a w drugim patyczek; na patyczku było napisane drukowanymi literami: MOŻNA. Nie wiem sam, czemu pociągnąłem za ów patyczek i w ślad za nim wyłoniła się, dobytą z ucha tej gołej osoby, nitka z lodowatym cukrem i wizytówką noszącą napis: DALEJŻE! Ciągnąłem więc, aż skończyła się owa nić — u jej koniuszka dyndał malutki papierek, też zapisany słowami: CIEKAWY, CO? TO WON!

Wszystko to razem odjęło mi zmysły, życie umysłowe, jak również mowę. Podniósłszy się wreszcie na równe nogi, poszedłem dalej, szukając kogoś, kto by wyglądał mi na osobę gotową odpowiedzieć chociaż na jedno pytanie. Wydało mi się w końcu, że znalazłem takiego w małym

grubasie, który siedział tyłem do mnie, zajęty czymś, co trzymał na kolanach. Miał tylko jedną głowę, dwoje uszu, dwoje rąk, więc, obchodząc go z lewej strony, zacząłem:

— Przepraszam, wszak nie myślę się, to panowie byli łaskawi osiągnąć Najwyższą Fazę Ro...

Słowa te zamarzy mi atoli na ustach. Siedzący ani drgnął, nie wydawało się, aby usłyszał cokolwiek z tego, co mówiłem. Trzeba przyznać, iż był wcale zajęty, trzymał bowiem na kolanach własną twarz, odłączoną od reszty głowy, i nieznacznie wzdychając, wiercił palcem w jej nosie. Zrobiło mi się nijako. Rychło wszakże zdumienie moje przeszło w ciekawość, ta zaś w żądzę natychmiastowego zrozumienia, co też właściwie dzieje się na tej planecie, jałem zatem biegać od jednego do drugiego z leżących, przemawiając do nich głośno, a nawet wrzaskliwie, i pytałem, groziłem lub błagałem, perswadowałem, molestowałem, a gdy to nie odniosło najmniejszego skutku, chwyciłem tego, który dłużył sobie w nosie, za rękę, ale odskoczyłem w największym przerażeniu, została mi bowiem w garści; on wszakże, nie zwracając na mnie uwagi, pogmerał obok w piasku, dobył z niego inną rękę, podobną, ale z lakierowanymi w pomarańczową kratkę paznokciami, chuchnął na nią i przyłożył sobie do barku, za czym natychmiast przyrosła. Wówczas pochyliłem się ciekawie nad ręką, którą mu poprzednio wyrwałem, ona zaś dała mi prztyczka w nos. Tymczasem słońce zaszło już dwoma rogami za horyzont, wiaterek ucichł, mieszkańcy zaś Eneferii drapali się z cicha, czkali, czochrali i najwyraźniej szykowali do snu; ten potrzepywał sobie brylantową pierzynkę, tamten układał systematycznie obok siebie nos, uszy, nogi, robiło się ciemno, tak że, podreptawszy jeszcze tu i tam, z westchnieniem jałem się także sposobić do noclegu. Wygrzebałem sobie tedy w piasku spory grajdoł i, wzdychając, ległem w nim, aby patrzeć w granatowe niebo, opryskane gwiazdami. Rozważałem, co począć dalej, i rzekłem sobie:

Doprawdy! Wszystko wskazuje na to, że w samej rzeczy odnalazłem planetę przewidzianą przez Trupusa Malignusa i Chloryana Teorycego Klapostoła, Najwyższą Cywilizację Wszechświata, która składa się z paruset osób, ani robotów, ani ludzi, leżących wśród śmieci i odpadków na Jaśkach brylantowych, pod diamentowymi kołdrami, na pustyni, nie zajętych niczym oprócz czochrania się i drapania; musi się w tym kryć jakaś okrutna tajemnica i żeby tam nie wiedzieć co — nie spoczne, póki jej nie zgłębię!!

I myślałem dalej:

Straszliwa to musi być zagadka, która okrywa wszystko na tej planecie kwadratowej, z kwadratowym słońcem, sprośnymi krasnoludkami w krzyżach i lodowatym cukrem w uchu! Wyobrażałem sobie zawsze, że skoro, jako całkiem zwykły robot, zajmuję się naukami i kształceniami, to cóż dopiero za kształcenia i nauczania muszą się dziać wśród lepiej rozwiniętych, aby nie wspomnieć o tych najdoskonalszych! Wygląda mi na to, że czym jak czym, ale rozmowami, a w szczególności ze mną, nie mają ochoty się zajmować. A trzeba ich koniecznie zmusić do tego — jak? Winienem chyba zaleźć im za skórę, tak uprzykrzyć życie, takie zastosować molestacje, aby mieli mnie zupełnie dość! Co prawda jest w tym niejakiemu ryzyko, bo rozgniewani, mogliby mnie łatwiej unicestwić, aniżeli ja — pchełkę.

Trudno atoli dopuścić, aby uciekali się do czynów tak brutalnych, a zresztą żądza poznania pali mi duszę! Wszystko jedno! Spróbuję!

To pomyślawszy, zerwałem się na równe nogi już w zupełnej ciemności i jałem wrzeszczeć wniebogłosy, wywracać koziółki, fikać i drygać, kopać leżących bliżej, sypać im piaskiem w oczy, podskakiwać, tańczyć, ryczeć, ażem ochrypl całkiem; wtedy siadłem, zrobiłem kilka ćwiczeń gimnastycznych i znowu rzuciłem się między nich jak bawół oszalały; oni zaś odwracali się ode mnie grzbietami, podtykali mi do trykania brylantowe jaśki lub pierzynki, a gdym wywrócił jakiegoś pięćsetnego koziółka, błysnęło mi w omroczonej głowie:

Zaprawdę, tożby się dopiero zdziwił mój serdeczny druh, gdyby mnie mógł w tej chwili zobaczyć i ujrzał, czym to ja się zajmuję na planecie, która osiągnęła Najwyższą Fazę Rozwoju Kosmicznego!! — To jednak wcale nie przeszkadzało mi w dalszych porykiwaniach i przytupach. Słyszałem bowiem, jak naszeptywali się z cicha:

— Kolego L.

- A co?
- Słyszycie, co się wyrabia?
- Co nie mam słyszeć?
- Przed chwilą omal mi głowy nie rozbił.
- Włóż sobie inną.
- Ale on spać nie daje.
- Co?
- Mówię, że nie daje spać...
- Widać z ciekawości — dodał trzeci szept.
- Okrutnie go już sparła!
- To jak, zrobić mu co czy niech nas męczy dalej?
- Ale co?
- Bo ja wiem? Może mu zmienić charakter?
- Kiedy nieładnie jakoś...
- A czemu taki zaciekły? Słyszysz, jak wyje?
- No, to ja zaraz...

Coś tam poszeptali, podczas kiedy ja nadal wyłem, stękałem i fikałem, koncentrując wysiłki w okolicy, z której dobiegły mię szepty. Właśnie stałem na głowie, to jest głową na brzuchu jednego z nich, gdy objęła mnie noc czarnej nicości; ciemność omroczyła mi zmysły, ale trwała — tak mi się przynajmniej wydało, kiedy się ocknął — ledwo ułamek sekundy. Wszystkie kości bolały mnie jeszcze od drygów i prysiodów, ale nie znajdowałem się już na planecie. Siedziałem, niezdolny ruszyć ręką ni nogą, w głównym salonie mego statku, a tym, co mię przytrzymywało, była istna góra słoików z konfiturami, drumli i niedźwiadków marcepanowych, katarynek z brylantowymi dzwoneczkami, talarów, dukatów, nausznic złotych, bransolet i klejnotów, od których taki blask bił, że oczy musiałem zamknąć. Kiedy zaś z największym wysiłkiem wygramoliłem się spod owej góry drogocЕННОści, ujrzałem przez okno krajobraz gwiazdowy i ani śladu w nim — kwadratowego słońca; jakoż pomiary wykazały niebawem, że sześć tysięcy lat musiałbym lecieć całą mocą, aby wrócić w jego okolice. Tak zatem pozbyli się mnie Enefercy, gdy nadto dałem im się we znaki; pojawiwszy, że nawet powrotem do nich niczego nie wskóram, bo wszak nic dla nich łatwiejszego jak wyekspediować mnie znów hyperspacjalnie lub podprzestrzennie tam, gdzie raki zimuja, postanowiłem wziąć się do rzeczy całkiem inną metodą, mój zacny Dobrycy”... — tymi słowami zakończył swą opowieść znakomity konstruktor Klapaucjusz, litościwy panie...

— Nic ci więcej nie powiedział? Nie może to być! — zawołał Trurl.

— O! Powiedział! Powiedział, łaskawy mój dobroczyńco, i z tego właśnie wynikła moja tragedia! — odparł poturbowany ciężko robot. — Kiedy pytałem, co ma zamiar uczynić, pochylił się ku mnie i rzekł:

„Zadanie wydawało mi się zrazu beznadziejne. Wszelako znalazłem sposób. Ty, mój pustelniku, jako prosty, niewykształcony robot nie pojmiesz arkanów rzecz otaczających, mniejsza o nie tedy; w zasadzie sprawa jest zresztą dosyć prosta: trzeba zbudować odpowiednie urządzenie cyfrowe, zdolne do modelowania wszystkiego, co istnieje. Ono, właściwie zaprogramowane, wymodeluje ci Najwyższą Fazę Rozwoju... i tym samym będzie można pytać je dla uzyskania Ostatecznych Odpowiedzi!”

„Ale jak zbudować takie urządzenie?” — spytałem. — „I skądże pewnośc, wielmożny Klapaucjusza że ono nie wyśle nas, po pierwszym pytaniu, gdzie pieprz rośnie, tym hiper-supersposobem, jakiego ośmielili się użyć wobec ciebie Enefercy?”

„Ach, to już fraszka” — rzekł — „spuść się na mnie; ja będę pytał o Tajemnicę Eneferców, a ty — o to, jakimi sposobami możesz najlepiej wcielić w działania przyrodzoną ci abominację do wszelkiego zła, szlachetny Dobrycy!”

Nie muszę wyjawiać, panie, że ogarnęła mnie radość nadzwyczajna, rychło też u boku Klapaucjusza jałem asystować w budowie urządzenia. Okazało się, że pan Klapaucjusz wznosił je

dokładnie według planów tragicznie zmarłego Chloryana Teorycego Klapostoła, był to właśnie sławetny Bogotron jego pomysłu, urządzenie, które zdziałać może wszystko w promieniu Kosmosu całego; przy tym, niezadowolony z tej nazwy, pan Klapaucjusz nie ustawał w wymyślaniu dlań innych, coraz to wyszukańszych, chrzcząc ów ogrom to Wszehmocnicą, to Ultymatorem Omnigenerycznym, to znów Ontogielnią; mniejsza zresztą o te nazwy, dosyć, że w rok i dni sześć wzniesiona została owa straszliwa aparatura, którą dla oszczędności umieściliśmy w pustym wnętrzu Rapundry, wielkiego Księżyca Niedołajów; i, zaprawdę, mrówka mniej jest zagubiona we wnętrzu transatlantyku, niż myśmy byli wśród tych otchłani miedzianych, transformatorów eschatologicznych, tych hagiopneumatycznych perfekcjonatorów i prostowników zła; wyznać też muszę, że włos mi się jeżył druciany, zasychało w stawach i zęby poszczekiwały, kiedy mnie pan Klapaucjusz usadził przed Pulpitem Ostatecznym i pozostawił sam na sam z ową maszyną, całkiem przepastną, a sam gdzieś po coś skoczył. Jak gwiazdy na wysokościach widziałem jej rozjarzone światła wskazujące, wszędzie lśniły groźne napisy: UWAGA! WYSOKA TRANSCENDENCJA! — potencjały logiczne i semantyczne osiągały w szklach zegarów milionowe zera, a pod stopami mymi przelewały się z cicha oceany tej nadludzkiej i nadrobociej mądrości, jaka, zaklęta w parseki zwojów i hektary magnezów, trwała przede mną, pode mną, nade mną, osaczając ze wszech stron, iżem się poczuł unicestwiony do pyłka w mej nikczemnej głupocie. Przemógłszy się atoli, wezwawszy w myśli na pomoc moje całe umiłowanie Dobra i namiętność, jaką dla Prawdy żywiłem od tyciej szpulki, otwarłszy zeszywniałe wargi, zadałem drżącym głosem pierwsze pytanie: „Kim jesteś?”

Wówczas lekki, ciepły dech, z dreszczem metalicznym, przeszedł przez owo szklane pomieszczenie, a głos z pozoru cichy, ale tak potężny, że mnie przeszył na wylot, ozwał się:

Ego sum Ens Omnipotens, Omnisapiens, in Spiritu Intellectronico Navigans, luce cybernetica in saecula saeculorum litteris opera omnia cognoscens, et caetera, et caetera.

Rozmowa toczyć się musiała po łacinie, ja atoli dla wygody przytoczę ci ją, jak umiem, wielmożny panie, w przekładzie na język bardziej potoczny. Gdym usłyszał głos maszyny i kiedy mi się przedstawiła, lęk mój jeszcze wzmógł się, tak że dopiero Klapaucjusz, powróciwszy, umożliwił kontynuowanie rozmowy w ten sposób, że zmniejszył transcendencję, a wszehmoc zredukował do jednej stumiliardowej; wówczas poprosiłem, aby Ultymator zechciał odpowiedzieć na pytania dotyczące Najwyższej Fazy Rozwoju i jej strasznych tajemnic. Klapaucjusz jednak rzekł, iż nie tak postępować należy; zażądał, aby Ontogielnia wymodelowała w swych otchłaniach srebrnych i kryształowych osobnika rodem z kwadratowej planety, nakłoniwszy go zarazem do niejakiemu gadulstwa — i wówczas dopiero rzecz się zaczęła właściwa.

Ponieważ nie mogłem — wstyd wyznać — przewyciężyć jąkania, jakie mnie z trwogi opadło, Klapaucjusz zajął moje miejsce przy Pulpicie Ostatecznym i zaczął:

„Kim jesteś?”

„Ile razy mam odpowiadać na to samo pytanie?” — zdenerwowała się maszyna.

„Chodzi mi o to, czy jesteś człowiekiem, czy robotem” — wyjaśnił Klapaucjusz.

„A jaka jest, według ciebie, różnica?” — odezwał się głos z maszyny.

„Jeżeli będziesz odpowiadać pytaniami na pytania, rozmowa prędko się nie skończy!” — zagroził Klapaucjusz. — „Wiesz na pewno, co mam na myśli! Gadaj!”

Struchlałem jeszcze bardziej od tak śmiałego tonu konstruktora, ale może i miał słuszność, maszyna rzekła bowiem:

„Czasem ludzie budują roboty, czasem roboty — ludzi; to, czy myśli się metalem, czy kisiem, jest obojętne. Mogę przybierać dowolne rozmiary, kształty i postacie; a mówiąc ściślej — tak było, bo teraz nikt z nas już się takimi błahostkami nie para”.

„Tak?” — odparł Klapaucjusz. — „A dlaczego tak leżycie i nic nie robicie?”

„A co mamy robić?” — odparła maszyna, Klapaucjusz zaś, powściągnawszy gniew, rzekł:

„Tego nie wiem. My, w niższej fazie rozwoju, robimy masę rzeczy”.

„Myśmy też robili podówczas”.

„A teraz już nie?”

„Nie”.

„Dlaczego?”

Tutaj wymodelowany nie chciał zrazu odpowiadać, twierdząc, że przeżył już sześć milionów takich indagacji, z których ani dla niego, ani dla pytających nic nie wynikło, ale dodawszy nieco transcendencji i obróciwszy pokrętła, Klapaucjusz wymógł na nim odpowiedź.

„Miliard lat temu byliśmy zwykłą cywilizacją” — rzekł głos. — „Wierzyliśmy wtedy w cyberchanioty, w mistyczną więź zwrotną każdej istoty z Wielkim Programistą i inne takie rzeczy. Potem wszakże pojawili się sceptycy, empiryści i akcydentaliści, którzy w dziewięć wieków doszli do tego, że Nikogo nie ma i wszystko jest możliwe, wszelako nie dla racji wyższych, a tylko ot — tak sobie”.

„To jest — jak to: tak sobie?” — odważyłem się wtrącić, zdumiony.

„Jak wiesz, bywają garbate roboty” — odparł głos z maszyny. — „Gdy nęka cię garb i pokręcenie, a zarazem wierzysz, że jesteś taki, bo w tej postaci pragnął cię Przedwieczny i plan twego pokręcenia wypełniał mgławicę Jego zamysłów jeszcze przed stworzeniem świata, łatwo się wtedy ze swym stanem pogodzisz. Ale gdy ci powiedzą, że to jeno skutek pośliznięcia się paru atomów, co nie powskakiwały na właściwe miejsca, cóż ci pozostaje prócz nocnego wycia?”

„Ależ pozostaje, pozostaje!” — zawołałem ufnie. — „Garb można wszak wyprostować, pokręcenie — odkręcić, trzeba na to tylko wysokiej wiedzy!”

„Wiem o tym!” — rzekła ponuro maszyna. — „Istotnie, prostakom tak się to wydaje”...

„Więc tak nie jest?” — zdumieliśmy się obaj z Klapaucjuszem.

„Gdy przychodzi czas prostowania garbów” — rzekła maszyna — „możliwości są już zgoła bezlitosne! Można nie tylko garby prostować, ale i sztukować rozum, słońca czynić kwadratowymi, planetom dorabiać nogi, produkować syntetyczne losy, daleko słodsze od prawdziwych; zaczyna się to niewinnie, od krzesania krzemieni, a kończy na budowaniu wszechmocnic i wszechmocników! Pustynia naszej planety nie jest pustynią, lecz Superbogotronem, milion razy potężniejszym od tego prymitywnego pudła, któreście zbudowali; stworzyli go pradziadowie nasi dlatego, że wszystko inne wydawało im się już nazbyt łatwe i chcieli z piasku myśli kręcić; uczynili tak z megalomanii, całkiem niepotrzebnie, bo gdy można czynić wszystko, to już nic absolutnie dodać do tego się nie da; rozumiecież to, o, słabo rozwinięci?!”

„Tak, tak!” — rzekł Klapaucjusz, gdy ja tylko drżałem. — „Czemu atoli, zamiast zajmować się ożywczą działalnością, leżycie, czochrając się, w tym genialnym piasku?”

„Ponieważ najwszechmocniejsza jest wszechmoc tylko wtedy, gdy nic absolutnie nie robi!” — odparła maszyna. — „Na szczyt można wyjść, ale wszystkie drogi ze szczytu prowadzą w dół! Mimo tego, co się stało, jesteśmy całkiem porządne osoby, więc niby dlaczego mielibyśmy cokolwiek robić? Już prapradziadowie nasi — ot, dla wypróbowania Bogotronu — uczynili nasze słońce kwadratowym, a planetę — skrzyniastą, najwyższe jej góry przekształciwszy w szereg monogramów. Równie dobrze można by pokratkować gwiazdy, połowę ich zgasić, drugą rozpalić, skonstruować istoty zaludnione mniejszymi istotami, tak aby myśli olbrzymów były tańcami karzełek, być w milionie miejsc naraz, przemieścić galaktyki, by układały się we wzory miłe dla oka, wszelako powiedz mi, proszę, dlaczego właściwie mielibyśmy podjąć się któregośkolwiek z tych zadań? Co się polepszy w Kosmosie od tego, że gwiazdy będą trójkątne albo na kółkach?”

„Mówisz nonsensa!!” — oburzył się okrutnie Klapaucjusz, gdy ja tylko dygotałem coraz silniej. — „Skoro jesteście równi bogom, obowiązkiem waszym jest zlikwidować natychmiast wszelkie cierpienia, troski, nieszczęścia, jakie trapią istoty wam podobne, a zacząć winniście chociażby od sąsiadów waszych, którzy, jak to sam widziałem, rozbijają sobie łby bezustannie! Jak śmiecie, zamiast zaraz się do tego zabrać, leżeć niechlujnie, dłubiąc i wtykając uczciwym podróżnym, co mądrości szukają, cukier lodowaty do ucha?!”

„Nie pojmuję, czemu ten cukier akurat tak cię zirytował” — rzekła maszyna. — „Ale mniejsza o to. Jeśli cię rozumiem, pragniesz, abyśmy uszczęśliwiali, kogo się tylko da. Przedmiotem tym

zajmowaliśmy się gruntownie około piętnaście wieków temu. Dzieli się on na felicytologię nagłą, czyli niespodziewaną, i powolną, czyli ewolucyjną. Ewolucyjna polega na tym, aby i palcem nie ruszać, w przeświadczeniu, iż każda cywilizacja tak czy inaczej powolutku sama da sobie radę; w sposób nagły zaś można uszczęśliwić albo po dobremu, albo siłą. Uszczęśliwianie siłą sprowadza, jak wykazuje rachunek, sto do ośmiuset razy więcej nieszczęść niż powstrzymanie się od wszelkiej aktywności. Po dobremu zaś uszczęśliwiać też nie można, bo — aczkolwiek wydaje się to dziwne — skutki są takie same, czy użyjesz Superbogotronu, czy też Inferatora Pieklicowego, zwanego też Gehennicą. Słyszałeś może o tak zwanej Mgławicy Kraba?”

„Owszem” — Klapaucjusz na to — „jest to resztką powłok Gwiazdy Supernowej, która wybuchła ongiś”...

„A jużci” — rzekł głos. — „Gwiazdy Supernowej, rzeczywiście! Była tam, mój pocziwce, planeta w miarę rozwinięta, ociekająca, jako taka, niemalą ilością łez i krwi. Opuściliśmy na nią jednego ranka osiemset milionów Spełniarek Życzeń, aleśmy nie oddalili się jeszcze od niej i na tydzień światła, kiedy rozleciała się w drobny mak i rozlatuje do dnia dzisiejszego! Podobnie było z planetą Hominasów... czy mam ci o niej opowiedzieć?”

„Nie trzeba!” — burknął Klapaucjusz. — „Nie wierzę, aby nie dało się, w sposób przemyślny i przezorny, uszczęśliwiać!”

„Nie wierzysz? Co ja na to poradzę? Próbowaliśmy tego sześćdziesiąt cztery tysiące pięćset trzysta razy. Włosy wstają jeszcze na wszystkich posiadanych przeze mnie głowach, kiedy sobie przypomnę rezultaty. Wierzaj mi, żeśmy nie oszczędzili trudu dla dobra innych! Zbudowaliśmy specjalną aparaturę do zdalnej spektroskopii marzeń, wszelako pojmujesz chyba, że jeśli na jakiejś planecie szaleje wojna religijna i każda ze stron marzy o tym, aby wyróżnić drugą, nie w tym widzieliśmy nasze zadanie, aby te życzenia po — spełniać! Chodziło tedy o to, żeby uszczęśliwiać, idei wyższego dobra nie naruszając. Ale to nie wszystko, albowiem większość cywilizacji kosmicznych w głębinach ducha życzy sobie rzeczy, do których nie śmie się jawnie przyznać, więc znów dylemat, czy pomagać im w tym, co one robią przez resztki wstydu i przyzwoitości, czy też w spełnianiu skrytych rojeń? Wziąć by ot — choćby dwie dla przykładu: Demencytów i Amencytów; pierwsi, w stadium uczciwego średniowiecza, żywcem palili paktujących z diabłem rozpustników, a zwłaszcza rozpustnice, raz dlatego, że im zazdrościli uciech z szatanem zażytych, a dwa, że katować w aureoli wymiaru sprawiedliwości sprawiało im nadzwyczajną lubość. Amencyci znów w nic już, oprócz ciała własnego, nie wierzyli i maszynami mu dosładzali, lecz z powściągliwym pewnym, nazywając to zajęcie rozrywką; mieli oni pudła szklane, do których wtlaczali różne gwałty, mordy, pożogi, powiększając sobie tylko apetyt ich oglądaniem. Opuściliśmy na ich planety deszcz urzędów, które tak były obliczone, aby żądze zaspokajając bez szkody niczyjej, a to stwarzaną w sobie sztuczną rzeczywistością; za czym Demencyci w sześć, Amencyci zaś w pięć tygodni zachwycili się na śmierć, w głos wrzeszcząc ze szczęścia doznawanego! Czy o takie może metody chodzi ci, niedorozwinięta istoto?”

„Jesteś głupcem albo potworem!” — warknął Klapaucjusz, gdy ja już od zmysłów całkiem odchodziłem. — „Jak śmiesz chępić się tak plugawymi czynami?”

„Ja się nimi nie chępię, jak się z nich spowiadam” — odparł spokojnie głos. — „Próbowaliśmy wszak, mówię, wszystkich kolejno sposobów. Obruszaliśmy na planety deszcze bogactw, potopy sytości i nadmiaru, paraliżując na nich wszelki wysiłek i pracę; dawaliśmy dobre rady, w zamian za które ogień otwierano do naszych kompotierów, to jest talerzy latających. Bo, zaprawdę, należałoby ducha przerobić pierwiej w tych, których zamierza się uszczęśliwić”...

„Podobno możecie i to uczynić!” — zgrzytnął Klapaucjusz.

„Ależ możemy, pewno, że możemy! Ot, wziąć by choć sąsiadów naszych, zamieszkujących ziemiopodobną, czyli ziemowatą planetę, Antropanów! Zajmują się oni wychwindrzaniem i turbaczeniem głównie, a to z obawy przed prukwiarnią, która jest według nich poza bytem i czeka na grzeszników swoją paszczą wiecznymi płomieniami wysadzaną; naśladując zaś błogosławionych Cymbrabeliansów, rajskiego Łambudasa i unikając Ohydancji z jej Ohydansami,

młodzieniec antropański staje się z wolna dzielniejszy, lepszy, szlachetniejszy, niż byli jego ośmioroący przodkowie. Prawda, walczą Antropanowie z Bajoranami o prymat Dusy nad Musem, względnie Musu nad Dusem (gdyż są tu zdań sprzecznych), ale zauważ, że w takich wojnach ginie tylko ich część, podczas gdy ty chciałbyś, abym ja, wyrwawszy im z głów wszystką ich wiarę w wychwindszanie, prukwiarnie i całą resztę, uczynił ich gotowymi do racjonalnego uszczęśliwienia. Lecz w ten sposób dokonałoby się morderstwo psychiczne, bo powstałe istoty nie byłyby już wszak ani Bajoranami, ani Antropanami; czyż tego nie rozumiesz?”

„Przesąd należy zastąpić wiedzą!” — rzekł twardo Klapaucjusz.

„Ależ oczywiście! Wszelako zważ, proszę, że żyje tam teraz około siedmiu milionów pokutników, którzy nieraz życie całe strawili na gwałceniu własnej natury, aby tym bliźnich od prukwiarni zbawić; jakże tedy wyjawię im w ciągu minut, i to tak, aby nie mieli już żadnych wątpliwości, że wszystko to było na nic i że zmarnowali całe życie na praktykach dokładnie bezużytecznych? Czyż to nie byłoby okrucieństwem? Wiedza sama musi zastąpić przesąd, ale do tego potrzebny jest czas. Weźmy tego garbusa, o którym mówiliśmy. Żyje w słodkiej ciemności, wierząc, iż garb jego pełni w dziele Stworzenia rolę aż kosmiczną. Gdy mu wyjaśnisz, że jest on skutkiem omyłki atomowej, tylko go unieszczęśliwisz. Wypadałoby zaraz mu go naprostować”...

„A pewno, że tak!” — palnął Klapaucjusz.

„Ba! I to się robiło! Sam dziad mój wyprostował raz trzystu garbusów za jednym zamachem. Jakże cierpiał potem!”

„Dlaczego?” — nie mogłem powstrzymać pytania.

„Dlaczego! Stu dwunastu usmażono zaraz potem w oleju, przyjąwszy tak nagle uzdrowienie za pewny dowód konszachców z diabłem; z pozostałych trzydziestu zaciągnęło się do wojska i zginęło w bitwach, rażąc się wzajemnie pod różnymi sztandarami, siedemnastu niezwłocznie zapiło się z radości na śmierć, resztę zaś wygubiło już to wycieńczenie miłosne (bo mój dziad, w poczciwości ducha, dorzucił im jeszcze wielkiej urody), już to wszelkie inne wszeteczeństwa, jakim zaczęli się oddawać nazbyt gwałtownie, do owego czasu wyposzczeni, tak że we dwa lata zeszli wszyscy, ale to wszyscy, do grobu. Jedyne wyjątek... at! nie warto mówić!”

„Skończże, kiedyś już zaczął!” — zawołał, niezmiernie poruszony, mistrz mój, pan Klapaucjusz.

„Jeśli chcesz koniecznie... dobrze. Pozostało zrazu tylko dwóch. Z nich jeden, nawinąwszy się dziadowi na oczy, błagał go na kolanach o przywrócenie garbu, albowiem jako kaleka żył sobie niezgorzej z datków, a wyprostowany musiał pracować, do czego był nienawykły. Powiadał, że do garbu całkowicie się już przyzwyczał i teraz, wchodząc gdziekolwiek, rozbija sobie boleśnie łeb o nadproża”...

„A ów ostatni?” — spytał Klapaucjusz.

„Był on królewiczem, pozbawionym sukcesji przez ułomność; wobec takiej odmiany na lepsze macocha, pragnąc, aby koronowany został jej syn, otruła go”...

„No, dobrze... Ale wszak możecie działać cuda... — rzekł z rozpaczą w głosie Klapaucjusz.

„Uszczęśliwianie za pomocą cudów jest jedną z najbardziej ryzykownych technik, jaką znam” — odparł surowo głos z maszyny. — „Kogo cudownie odmieniać? Jednostki? Od nadmiaru urody pękają więzy małżeńskie, od zbytniego rozumu przychodzi samotność, od bogactw — szaleństwa. Nie, nie! Jednostek uszczęśliwiać nie można, a społeczności nie wolno; każda musi się poruszać własną drogą, wstępując naturalnym sposobem z piętra na piętro rozwoju, wszystko dobre i złe zawdzięczając sama sobie. My, z Fazy Najwyższej, nie mamy w Kosmosie nic do roboty; nie stwarzamy innych Kosmosów, gdyż, pozwolę sobie zauważyć, nie byłoby to przyzwoite. Po co to robić? Dla własnego wywyższenia się? To byłoby szkaradne. Więc dla stwarzanych może? Ależ ich nie ma, jakże więc można uczynić coś dla nie istniejących? Robić cokolwiek można dopóty, dopóki nie można jeszcze zrobić wszystkiego. Potem trzeba siedzieć cicho... A teraz dajcie mi już spokój!”

„Ależ jak to?! A środki jakieś, aby choć trochę usprawnić, polepszyć, pomoc nieść? Cierpiący — zważ na nich! Halo!” — wołaliśmy jeden przez drugiego z Klapaucjuszem u Ostatecznego Pulpitu.

Maszyna ziewnęła i rzekła:

„I czyż warto w ogóle z wami rozmawiać? Czyż nie słusniejsze było nasze postępowanie na planecie? Zawsze to samo! A więc dobrze! Macie tu przepis na środek jeszcze nie wypróbowany, wszelako ostrzegam przed skutkami! A teraz róbcie sobie, co chcecie. Spokój — to jedyna rzecz, na jakiej mi zależy. Odejdźcie tedy z Bogotronem”...

Machina umilkła, a my zostaliśmy przed stygnącymi konstelacjami jej światła, u Pulpitu, na którym leżała kartka z takim mniej więcej tekstem:

ALTRUIZYNA — preparat psychotransmisyjny, przeznaczony dla wszystkich białkowatych. Wywołuje upowszechnienie wszelkich czuć, emocji i doznań tego, kto je przeżywa bezpośrednio, wśród innych, znajdujących się w odległości nie większej od pięciuset łokci. Oparty na zasadzie telepatycznej, nie przekazuje pod gwarancją żadnych myśli. Na roboty i rośliny nie działa. Intensywność doznań indywiduum przeżywającego jako nadawca wzrasta dzięki retransmisji wtórnej odbiorców i jest tym większa, im więcej osobników z takowym sąsiaduje. Zgodnie z koncepcją wynalazcy ALTRUIZYNA ma wprowadzić w każdą społeczność ducha braterstwa, wspólnoty i sympatii dogłębnej, ponieważ sąsiedzi osoby szczęśliwej sami są także szczęśliwi, i to tym bardziej, im bardziej szczęśliwa jest ona; życzą więc takiemu indywiduum jeszcze więcej szczęścia we własnym interesie, a zatem z całej duszy. Gdy zaś kto cierpi, zaraz spieszą z pomocą, aby samych siebie od cierpienia indukowanego wybawić. Mury, ściany, faszyny ani inne przegrody działania altruistycznego nie osłabiają. Preparat jest rozpuszczalny w wodzie; można wprowadzać go do sieci wodociągowej, rzek, studzien itd. Nie ma smaku ani zapachu; jeden milimikrogram wystarczy dla społeczności złożonej ze stu tysięcy jednostek. Za skutki z tezami wynalazcy sprzeczne nie przyjmuje się żadnej odpowiedzialności. Za przedstawiciela Najw. Faz. Rozw. — Wszchemocnica Ulymatywna.

Klapaucjusz mruzczał nieco, że Altruizyna znajdzie zastosowanie wyłącznie wśród ludzi, a roboty, jak były, nadal pozostaną w nieszczęściach bytowych, ośmieliłem się jednak zgromić go, podkreślając wspólnotę wszystkich stworzeń rozumnych i konieczność niesienia im pomocy. Przyszło do omawiania kwestii praktycznych, jasne było bowiem, że należy rozpocząć akcję uszczęśliwiania niezwłocznie. Klapaucjusz zaraz polecił małemu podzespołowi Ontogielni wytworzyć odpowiednią ilość preparatu, ja zaś, po naradzie z znakomitym konstruktorem, zdecydowałem się wyruszyć na planetę ziemopodobną, zamieszkaną przez istoty człękkształtne, która leżała zaledwie o cztery dni drogi. Pragnąłem być dobroczyńcą anonimowym, więc ustaliliśmy, iż najrozsądniej będzie, gdy się przedziergnę w człowieka; jak wiadomo, jest to wielce kłopotliwe, ale geniusz konstruktora i tu zwyciężył wszystkie przeszkody. Wyruszyłem tedy, mając w rękach dwie walizy, z których jedną wypełniało czterdzieści kilogramów białego proszku Altruizyny, drugą zaś — przybory toaletowe, piżamy, bielizna, zapasowe policzki, włosy, oczy, języki itp. Sam podróżowałem pod postacią proporcjonalnie zbudowanego młodzieńca z małym wąsikiem i grzywką. Klapaucjusz miał pewne wątpliwości, czy rzeczywiście należy stosować Altruizynę od razu na wielką skalę, więc chociaż nie dzieliłem jego zastrzeżeń, zgodziłem się dokonać, po przybyciu na Geonię (tak się nazywała planeta), próbnego eksperymentu. Paliło mi się wręcz do chwili, w której rozpocznę wielki siew powszechnego braterstwa i wspólnoty, nie zwlekając tedy, puściłem się, po serdecznym rozstaniu z Klapaucjuszem, w drogę.

Aby przeprowadzić próbę, zatrzymałem się po przybyciu do celu w małej osadzie, u niemłodego już, dość ponurego karczmarza, w jego gospodzie, a poczynąłem sobie tak zręcznie, że udało mi się wsypać garść proszku do studni przed domostwem już podczas przenoszenia sakwojaży z bryki do pokoju gościnnego. W obejściu panował niejaki rwetes, dziewczki kuchenne biegały z szaflikami gorącej wody, gospodarz popędzał je gniewnie, wnet zatupotały kopyta i z bryczki zeskoczył starszy osobnik z walizką lekarską w rękę; skierował się jednak nie do domu, lecz do obory, skąd dobiegał chwilami głuchy poryk. Jak się dowiedziałem od pokojówki, zwierzę geońskie, będące własnością gospodarza, tak zwana krowa, rodziło. Zaniepokoilem się tym trochę, bo, prawdę mówiąc, w ogóle nie pomyślałem o kwestii zwierzęcej; nic już jednak nie mogłem uczynić i

zamknąłem się w pokoju, aby pilnie obserwować bieg wypadków. Jakoż nie dały na siebie czekać. Słyszałem dźwięk łańcucha studziennego — dziewczki znowu nosiły wodę — i już po krótkiej chwili rozległ się ponowny ryk krowy, któremu zawtórowały inne; zaraz potem weterynarz, wrzeszcząc, wyleciał z obory, a trzymał się za brzuch, za nim zaś gnały podkuchenne, na końcu zaś oberzysta; wszyscy, uczestnicząc w cierpieniach porodowych krowy, z wielkim lamentem uciekali na wsze strony, aby niebawem powrócić, gdy bóle opuściły ich w pewnej odległości. W ten sposób ponawiali kilkakrotnie szturm do obory, za każdym razem wybiegając z niej całym pędem, w mękach porodu; zmieszany tak nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń, uznałem, że eksperyment należało przeprowadzić w mieście, gdzie nie ma zwierząt. Czym prędzej spakowałem się i zażądałem rachunku. W całym obejściu jednak wszyscy tak cierpieli od przychodzącego na świat cielęcia, że nie było nawet z kim mówić; chciałem odjechać sam, ale furmana, wraz z jego szkapami, też wzięty już bóle porodowe, zadecydowałem tedy, że pójde do pobliskiego miasta piechotą. Chciałoż nieszczęście, iż kiedym szedł po kładce przez rzekę, ręka omskła mi się na uchwycie walizki, która, uderzywszy zamkiem w brzeg kładki, otworzyła się i cały ładunek białego proszku wysypał się z niej w mgnieniu oka. Stałem, osłupiały, patrząc, jak żwawy nurt rozpuszcza w sobie czterdzieści kilogramów Altruizyny — nic nie dało się wszakże zrobić, kości były rzucone, ponieważ rzeka zasilala właśnie miasto w pitną wodę.

Szedłem aż do wieczora; miasto, gdy do niego dotarł, było już oświetlone, ulice gwarne, sporo na nich przechodniów. Wynałazłem sobie wnet niewielki hotelik, w którym stanąłem, wypatrując pierwszych oznak działania preparatu, ale nie dostrzegłem na razie żadnych. Znużony długą wędrówką, udałem się zaraz na spoczynek. W środku nocy obudziły mnie przeraźliwe krzyki. Zerwałem się z pościeli. Pokój był jasny od płomieni pochłaniających przeciwny dom; zbiegłem na ulicę i tuż za progiem przewróciłem się o trupa, całkiem jeszcze ciepłego. Opodal sześciu zbiorów, trzymając silnie starca, który wzywał ratunku, rwało mu obcęgami zęb za zębem z gęby, aż chóralny okrzyk ulgi obwieścił, iż odnaleziony został wreszcie i usunięty ten bolesny korzeń, który dręczył ich także wskutek transmisji; porzuciwszy bezzębnego i na wpół stratowanego, oddalili się, wyraźnie ukojeni.

Nie tego biedaka krzyk obudził mnie jednak; przyczyną był incydent, jaki zaszedł w piwiarni naprzeciwko: jakiś pijany osiłek zdziesiął tam kamrata przez łeb i doznał w tej chwili jego bólu, czym rozwścieczony, jął walić go coraz mocniej, współbiednicy zaś, których też bardzo bolało, poskoczyli, by tłuc szczepionych; krąg powszechnych cierpień tak się rozszerzył, że połowa gości mego hotelu, wyrwana ze snu, porwawszy laski, miotły, kije, pognąła w białiznie nocnej na miejsce boju i tarzała się jednym kłębem wśród pogruchoanych sprzętów i naczyń, aż jakaś przewrócona lampa zażęgła ogień. W dźwięku dzwonów, w wyciu straży pożarnej i niedobitków owej walki oddaliłem się czym prędzej z tego miejsca, aby parę ulic dalej trafić na gromadę, tłum raczej, otaczający niewielki biały domek wśród różanych krzewów. Jak się okazało, przebywała w nim pewna dopiero co zaślubiona, młoda para. Tłok był niesłychany, widziało się mundury wojskowe, duchowne sukienki i nawet młodzież licealną; ci, co stali blisko okien, wtykali w nie głowy, inni wśliznęli im na plecy, wołając: „No! Co jest?! Co za guzdranie?! Długo mamy jeszcze czekać?! Do roboty, prędzej!” — itp. Jakiś staruszek, który nie mógł się dopchać, ze łzami w oczach błagał tarasujących drogę, aby go przepuścili, bo z daleka, przez słabość mózgową, nic nie poczuje; nie zważano wcale na jego korne prośby — jedni omdlewali sobie z rozkoszy po cichu, inni postękiwali z wielkiej lubości, a co niedoświadczęsi puszczali nosem bańki. Rodzina nowożeńców chciała zrazu przepędzić czeredę natrętów, ale, sama wpadłszy rychło w zamęt powszechnego porubstwa, włączyła się w grubiański chór, dopingujący kochanków, przy czym rej w owym smutnym widowisku wodził pradziadek pana młodego, który uparcie szturmował fotelem na kółkach drzwi małżeńskiej sypialni. Głęboko zrażony całą tą sceną, zawróciłem, by udać się do hotelu, po drodze zaś natykałem się na kupy — to kotłujące się bitewnie, to uczestniczące w obłapkach; wszystko to atoli było niczym w porównaniu ze scenami, jakie działy się w hotelu. Z daleka już dostrzegłem, że goście w białiznie wyskakiwali z pięter na ulicę, łamiąc często gęsto

nogi, parę osób wlaźło na dach, w środku zaś gospodarz, jego żona, pokojówki, portierzy miotali się i wrzeszczeli ze strachu jak szaleni, chowali się w szafach lub pod łózkami — wszystko dlatego, że kot gonił w piwnicy myszy.

Zaczynałem pojmować, jak pochopny był mój uczynek; o świcie Altruizyna działała już z taką siłą, że kiedy kogo w nosie załaskotało, cała okolica w promieniu mili odpowiadała piorunowymi salwami kichnięć, od osób zaś cierpiących na ciężkie newralgie krewni, pielęgniarce i lekarze uciekali gorzej jak od zarazy; nieśmiało kręciło się tam ledwo paru wybladłych, posapujących od nadzwyczajnej przyjemności masochistów. Mnóstwo też było niedowiarków, co tylko po to kopali i tłukli bliźnich, aby się przekonać, czy to prawda z tym dziwem transmisji czuć, o którym tyle opowiadają; maltretowani nie pozostawali z kolei dłużni, i głuchy łomot razów wypełniał całe miasto. Około śniadania napotkałem, włócząc się po ulicach w bezmiernym zadziwieniu, wielki, łzami zalany tłum, który, ciskając kamieniami w czarno zakwefioną staruszkę, gnał ją przez rynek. Jak się okazało, była to wdowa po pewnym sędziwym szewcu, co zmarł był dnia poprzedniego i miał rano pochówek; otóż cierpienia nie utulonej w żalu szewcowej tak dopiekły sąsiadom i sąsiadom sąsiadów, że, nie mogąc w żaden sposób ukoić biedaczki, wypędzili ją z miasta. Na ten widok okropny smutek ścisnął mi serce i wróciłem, najszybciej jak mogłem, do hotelu, aliści i on już stał w huczącej pożodze. Kucharka bowiem, gotując zupę, sparzyła się w palec, wskutek czego pewien rotmistrz, który na najwyższym piętrze czyścił właśnie broń, od wielkiego bólu nacisnął niechcący spust, zabijając na miejscu żonę z czworgiem dzieci; rozpacz jego podzieliły wszystkie osoby jeszcze nie odwiezione do szpitala wskutek utraty zmysłów bądź połamania członków, a jakiś życzliwy, chcąc skrócić tak powszechne cierpienia, od których sam omal nie ginął, polewał, kogo się dało, naftą i podpalał w oczywistym szaleństwie. Uciekłem od pożaru, sam też jak szalony, szukając już jednej tylko choć z grubsza, choć jako tako uszczęśliwionej osoby, ale trafiłem tylko na ostatki tłumu, wracającego z owej nocy poślubnej.

Komentowano jej wydarzenia, przy czym wszystko było tym nikczemnikom nie takie, jak się, w ich mniemaniu, należało; każdy z owych byłych współoblubieńców ścisnął przy tym w dłoni tęgi kij, aby odpędzać każdego cierpiącego, jaki się tylko napatoczy; wtedy pomyślałem, że chyba dusza pęknie mi z żalu i sromoty, ale nadal szukałem choć jednego człowieka, który by pomniejszył moją zgryzotę; wypytując przechodniów, dowiedziałem się w końcu, gdzie mieszka pewien sławny myśliciel, głoszący maksymę braterstwa i światłej wyrozumiałości, i skierowałem się tam, pewny, że domostwo jego zastanę otoczone szerokimi rzeszami pospólstwa. Gdzieżby! Ledwo kilka kotów miauczało z cicha pod bramą, korzystając z aury przychylności, jaką roztaczał mędrzec, dzięki czemu prześladowane je psy siadły w pewnej odległości, oblizując się nerwowo, a jakiś kaleka, biegnąc jak mógł najszybciej, minął mnie z wraskiem: „Króliczarnia już otwarta! Otwarta!” — i pozostawił mnie pełnym ponurej niepewności domysłem, w jaki to sposób zjawiska zachodzące w króliczarni mogą wpłynąć korzystnie na jego doznania.

Gdy tak stałem, zbliżyło się do mnie dwu ludzi. Jeden, patrząc mi głęboko w oczy, palnął z całej siły w papę drugiego, ja zaś osłupiałem ze zdumienia, atoli ani się za własną twarz nie złapałem, ani nie jęknąłem nawet, bo wszak, jako robota, wcale mnie ów policzek nie zabolął; należało pomyśleć o tym, bo byli obaj z tajnej policji i, zdemaskowanego tym sposobem, zaraz skuli kajdanami i powlekli do więzienia. Tam wyznałem całą moją winę. Liczyłem, że będą może skłonni wziąć pod uwagę znaczne me intencje, choć pół miasta już się paliło; jednakże oni tylko dlatego macnęli mnie zrazu lekko obcęgami, aby się przekonać, czy ich to na pewno nie przyprawi o dolegliwości, a stwierdziwszy, że nic a nic, hurmą rzucili się, aby tłamsić, zrywać gwinty, deptać, kopać i łamać fibry mego umęczonego jestestwa. Nie zliczę mąk, jakie zniosłem za rzetelną chęć uszczęśliwienia ich wszystkich; dosyć, że szczątkami mymi nabito w końcu armatę i wystrzelono je w Kosmos, jak zawsze cichy i ciemny. A lecąc, z coraz to większej dali obejmowałem wzrokiem obtłuczonym sceny działania Altruizyny na rosnącej wciąż przestrzeni, bo fale rzeczne niosły drobiny preparatu dalej i dalej. Widziałem tedy, co się działo wśród ptasząt leśnych, mnichów, kóz, rycerzy, wieśniaków i ich żon, kogutów, dziewic i matron, a od widoków tych ostatnie nie

uszkodzone lampy popękały mi z serdecznego żalu — i taki właśnie upadłem, po długim szybowaniu, opodal twego domostwa, miłosierny panie — uleczony, naprawdę, po wszystkie czasy z chętki uszczęśliwiania bliźnich przyspieszonymi sposobami...